

GORZOWSKI
MAGAZYN
FANTASTYCZNY
NUMER 2(4)/2019

Landsberg  ON



ISSN 2657-5280

To nie miało prawa się udać – wstępniak naczelnego

Z ogromną przyjemnością i jeszcze większą dozą niedowierzania oddajemy w Państwa ręce czwarty numer „LandsbergONu” – gorzowskiego magazynu fantastycznego. Przyjemność wynika z faktu, że „LandsbergON” jest moim dzieckiem i z radością mogę się nim pochwalić. Skąd natomiast niedowierzanie? Otóż wynika ono z faktu, że coś takiego jak gorzowski magazyn fantastyczny w ogóle powstało i nadal ma się dobrze. Bo to nie miało prawa się udać. Grupka młodych ludzi spotkała się dwa lata temu w wynajmowanym przeze mnie mieszkaniu, aby usłyszeć mój szalony pomysł: *Zalóżmy lokalne czasopismo o fantastyce. W Gorzowie!*

to „szalony” pomysł? Mam przed sobą egzemplarz czasopisma „Trakt” z lipca 1997 r. z artykułem pt. „Gorzów – miasto młodych?”, którego treść sprowadza się do smutnej konkluzji, że młodzi chcą stąd uciekać. O Gorzowie wypowiadają się w cytatach per „Gorzówek”. Niewiele się zmieniło po dziś dzień. „LandsbergON” okazał się strzałem w dziesiątkę, bo był jedną z niewielu inicjatyw skierowanych głównie do osób młodych, w mieście, w którym panowała posucha na młodzieżowe inicjatywy. Jednakże wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Poza tym my sami też nie wyróżzyliśmy sukcesu. Nikt z nas nie robił wcześniej niczego podobnego. Pisaliśmy hobbystycznie, publikując tu i ówdzie. Pierwszy wywiad z nami w lokalnej gazecie upłynął w atmosferze zdziwienia dziennikarza, który nie mógł pojąć, jak to możliwe, że wzięliśmy się za redagowanie pisma i to bez wykształcenia polonistycznego. Kiedy więc podsunąłem taki pomysł i kiedy już skończyliśmy się śmiać, zaczęliśmy przerzucać się rozwiązaniami: *Skąd wziąć fundusze? Kto będzie publikował? Ale chłopaki, kto to złoży, wydrukuje? E tam, damy radę!*

Szalony pomysł wykiełkował i nie chciał odejść, nie pozwalając zasnąć w nocy. W końcu spróbowaaliśmy i złożyliśmy projekt na lokalny magazyn fantastyczny do urzędu miasta. Nazwa „LandsbergON”, która pojawiła się jak objawienie tuż przed samym złożeniem wniosku, też wywołała burzę w naszej małej grupie: *Zjedzą nas! Na Ziemiach Odzyskanych ludzie boją się wszystkiego, co sugeruje, że to nie są rdzennie piastowskie tereny. Boją się niemieckich reakcjonistów. Zaszłości. Do kobiety, która prowadzi galerię „Landsberg” wpadają dziwni ludzie, tłumacząc, że to jest Gorzów, nie żaden „Landsberg”, i jak o tym zapomnimy, to „wypędzeni” wpadną i zabiorą nam domy.* Pozostałem nieugięty. Tłumaczyłem, że nie powinniśmy wstydzić się naszej podwójnej historii. Podawałem przykład Żąbkowic Śląskich, które

z Frankensteina uczyniły swój znak firmowy i atrakcję turystyczną (miejscowość do końca wojny nosiła nazwę „Frankenstein”). Pomysł na „LandsbergON” trafił do urzędu miasta. Wybór naszego projektu przez komisję konkursową, jako tego, który otrzyma dofinansowanie, był dla nas samych zaskoczeniem. Jeszcze w tym roku staraliśmy się o środki na dodruk z kasy miejskiej, co również się udało. Jesteśmy obecnie jedynym magazynem fantastycznym w Polsce dotowanym przez samorząd i jest to piękna wizytówka naszego miasta (gdy na Facebookowej stronie *Bramy Grozy* ukazała się wzmianka o „LandsbergONie”, pierwszy komentarz pod nią brzmiał: „Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wielkopolski – szacun!” i, jak się okazało, był to komentarz redaktora magazynu strasznie kulturalnego „Trupi Jad”, który zainteresował się naszym wydawnictwem). Nieznane szerzej czasopismo spotkało się z ogromnym odzewem. Nasza obawa, że nie będzie miał kto publikować rozwiła się, gdy gorzowianie dosłownie zasypali nas swoimi pracami. Okazało się, że mamy, jak ujęła to Krystyna Kamińska w swojej recenzji „LandsbergONu”: „(...) jeszcze nieznanych, a ciekawych autorów tekstów, fotografów i grafików” i dopiero dzięki nam ich prace ujrzały światło dzienne. Posypały się recenzje w Internecie. Pisali o nas w *Ostatniej Tawernie*, *Trzynastym Schronie*, *Bramie Grozy*, *Trupim Jadzie*, *Grozowni*, na portalu fantastycznym *Game Exe*, na stronie miłośników Lovecrafta *R'lyeh Polska Fhtagn*, na stronie *Agapilecka.pl*, na *Świecie Fantasy*, *Powiało chłodem*. Strona akcji *Nie czytasz? Nie idź z Tobą do łóżka* promowała „LandsbergON” przez kilka dni w swojej facebookowej relacji. Na każdej z tych stron Gorzów Wielkopolski był odmieniany przez wszystkie przypadki. Pokazaliśmy, jak fajne jest nasze miasto i jak świetnych ma lokalnych twórców. W organizację naszych konkursów włączyły się lokalne firmy: *Open the Lock* i *Sushi Bar* przy ul. Spichrzowej, a także wydawnictwo *Novae Res*. Pojawili się wspaniali ludzie, tacy jak: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, a następnie Karol Wojdyło, którzy zaproponowali, że zupełnie za darmo zrobią nam korektę tekstów; Paweł Fulara, który skontaktował się z nami z propozycją zrobienia całkowicie nieodpłatnie strony internetowej; Paweł Marchwiński z Zespołu Szkół Odzieżowych, który rzucił: „dobra, mogę zrobić wam skład”. Nasze miasto już drugi rok dofinansowuje wydawanie czasopisma, a my bez wsparcia finansowego organizujemy też spotkania autorskie. Coś, co nie miało prawo się udać, nie tylko się udało, ale okazało się wielkim sukcesem, co samo w sobie zakrawa na

czystą fantastykę. Teraz walczymy o środki na zwiększenie nakładu, bo ze 100 egz. nie jest łatwo przebić się do świadomości mieszkańców.

Mamy w naszym mieście więcej takich inicjatyw, które z różnych powodów nie mogą rozwinąć skrzydeł. Słyszeliście o „Ćwierćinteligencji”? Nieregularnik wydawany własnym sumptem przez gorzowianina Karola Wojdyło to jedno z najbardziej inteligentnych i zabawnych czasopism, jakie trafiły w moje ręce. Jeśli chcecie sprawdzić, o czym mówię, poszukajcie *Ćwierćinteligentów* na Facebooku. A o *Gorconie* słyszeliście? Uczeń II LO Piotr Jakubowski zorganizował w naszym mieście już dwa konwenty fantastyki pod tą właśnie nazwą. A mówi Wam coś nazwa *Wrathu*, albo *Mała Fuzja*? To Kamil Kwiatkowski z Sebastianem Siudą, którzy pod takimi pseudonimami tworzą muzykę, promując nasze miasto. Wspierajmy lokalną kulturę. Wspierajmy gorzowskich twórców. Na naszych lamach zawsze znajdą dla siebie miejsce. A w tym numerze możecie poznać takich gorzowian, jak wspomniany Kamil Kwiatkowski, który zburzył z Wami czwartą ścianę w opowiadaniu

„Przypadek Alicji K.”; Jakub Soborak, który zabierze Was w podróż przez „Sztolnie Hallibriar” w swoim opowiadaniu rodem z gatunku dark fantasy oraz Jakub Łukasik, który zaprezentuje dalszą część gorzowskiej „Wandy”. Ja zaś pozwolę sobie uraczyć Państwa opowiadaniem „Zmierch bogów”, łączącym elementy fantasy i s-f. Wszystko to ubarwią grafiki Iwony Mazur, które przedstawiają secesyjne detale gorzowskich kamienic (jeden z takich detali, widoczny na kamienicy przy ul. Łokietka 21 w Gorzowie, zdobi naszą okładkę) I przepiękne fantastyczne obrazy gorzowianina Krzysztofa Swaryczewskiego. Życzę Państwu smakowitej literackiej uczy w klimatach szeroko pojętego fantasy.

P.S. Jeśli uważasz, Czytelniku, że nasz półrocznik powinien istnieć i to dobrze, że promujemy gorzowską fantastykę oraz lokalnych twórców, też możesz dołożyć swoją cegiełkę przez przekazanie dowolnej kwoty na konto wydawcy – Stowarzyszenia NOVUM: 37 2030 0045 1110 0000 0425 6090, w tytule wpisując: „Darowizna na LandsbergON”. Możecie spodziewać się imiennych podziękowań w kolejnych numerach :)

Mariusz Sobkowiak – Redaktor naczelny

Sztolnie Hallibriar

Pracował w gęstej ciemności, nie używając oświetlenia, gdyż znał to miejsce niemal na pamięć. Z łatwością odnalazł stanowisko, które wcześniej wybrał. Jego zmętniałe, okryte zaćmą oczy nie potrzebowały światła, by ustawić na pozycji ciężki młot hydrauliczny. Doskwierająca ułomność była poniekąd zaletą, gdyż pozostałe zmysły miał szczególnie wyostrzone. Pozwalały mu dostrzec nawet najmniejszy fragment sztolni.

Zaledwie chwilę zajęło mu zamocowanie wiertła. Powoli przesuwając dłoń po wilgotnej skalnej ścianie, aż odnalazł odpowiednie zagłębienie, idealnie nadające się na pierwszy odwiert. Schodził do kopalni już od wielu lat, dzień po dniu, i każdy jej chodnik, skalny występ czy nierówność w podłożu wbiły się głęboko w jego pamięć. Ten podziemny świat stał się dla niego drugim domem. Mrocznym, pełnym duszącego pyłu, kurzu, potu i krwi, ale jednak domem. Maszyna hałasowała w ciemnościach, a fetor kurzu, potu i krwi został wzmocniony wyciewami magii. Promieniowanie emitowane na dole przyczyniało się do powstawania nowotworów i innych groźnych chorób. Chaotycznie transferowana moc mogła ugotować humanoidalny mózg lub w najlepszym przypadku doprowadzić do szaleństwa. W ramach osłony pracownicy nosili podczas szczytu specjalne kombinezony, w które wplatali kryształy i zaklęcia ochronne.

Chłopak zlany potem drążył urobek ciężkim młotem hydraulicznym napędzanym i schładzanym płynnym mitris mizuli. Urządzenie dodatkowo wzmocnił naładowanymi mocą kryształami, choć i tak dawało to zaledwie mikroskopijny urobek. Pograżony w ogromnie ciężkiej harówce tracił niemal świadomość otaczającej go rzeczywistości. Ręce, plecy i ramiona paliły go żywym bólem od nieustannie powtarzanych uderzeń narzędzia. Chmura drażniącego pyłu utrudniała oddychanie, a zgrzytliwe charczenie oznajmiało, że wgrzyza się w skałę coraz głębiej. Niestety, podczas wielu godzin ciężkiej harówki odnalazł niewiele mitris mizuli. Ten bardzo cenny minerał służył do budowy pancerzy, broni oraz biżuterii dla wysoko urodzonych arystokratów. Wręcz magiczne właściwości tego minerału sprawiały, że był niezwykle trudny do pozyskania. Chłopak z miną skazańca idącego na szafot harował w tunelu niezwykle napromieniowanym magią, wiedząc, że kopalnia może w każdej chwili wybuchnąć. Aëllnir zwany pogardliwie przez mieszkańców Hallibriar Ślepażem, nie lubił wracać na powierzchnię z pustymi rękoma. Jednak ciężki i masywny silnik zawył okropnie, a grot po chwili zaklinował się i urządzenie odmówiło dalszej pracy. Chłopak z ciężkim westchnieniem wyciągnął z mozołem zaklinowany grot i rzucił ustrojstwo na spąg wyrobiska. Zaklął sarcyście i rozmasował

obolałe ręce od wstrząsów i ciężaru narzędzia. Zaznaczył miejsce wydobycia czerwoną kredą na znak, że jeszcze tu wróci i, gdy już miał zabierać swoje manatki, podszedł do niego jeden z górników, mężczyzna w średnim wieku o zbitej i umięśnionej posturze. Ubrany był w standardowy kombinizon górników z Hallibriar, na głowie miał czapkę ze wplecionymi ochronnymi kryształami, a na plecach niósł młot hydrauliczny. W jednej ręce trzymał hełm jarzący się jasnym światłem, a w drugiej kilof.

– Złaz z drogi, Ślepaż – rzekł oschle.

– Sam chyba jesteś ślepy, Grearrds, nie widzisz, że oznaczyłem ten wyłom – Aëllnir wskazał obolałą ręką na wywaloną dziurę w skale.

– Nie będę powtarzał, złaz z drogi chłopcze – warknął mężczyzna.

Aëllnir poprawił spadającą czapkę i przetarł zakurzone okulary, które nosił, aby bezładnie szalejąca moc nie doprowadziła do denaturacji białka w jego oczach. Chłopak nie posiadał dość funduszy, aby wyposażyć się w hełm ochronny z prawdziwego zdarzenia. Młot, którym pracował był jedynie wydzierżawiony. Aëllnir wiedział, że teraz będzie musiał zapłacić za jego naprawę z własnych, ciężko zarobionych pieniędzy. Ta myśl sprawiała, że miał jeszcze paskudniejszy humor.

– Widzę, że jesteś sam i w dodatku śmierdzisz samogonem – rzekł chłopak. – Dasz mi radę w pojedynkę? – Grearrds wiedział, że Aëllnir jest straszliwie zmęczony po wielu godzinach wycieńczającej roboty, dlatego próbował ułatwić sobie zarobek.

– Zaczynasz mnie irytować. Twój przybrany starszek powinien nauczyć cię szacunku dla starszych, szczyłu. Ja ci, kurwa, zaraz wbiję do głowy trochę oleju!

Mężczyzna runął na chłopaka z ciężkim kilofem w rękę i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jedną ręką Aëllnir złapał mężczyznę za ramię, a drugą przyfasił mu prosto w nos, tak szybko, że ten nie zdążył w porę zareagować. Podchmielony gorzałką Grearrds lupnął z impetem o twarde podłoże, jednak szybko wstał, złapał kilof, który wypadł z powodu uderzenia, i powtórnie zamachnął się na chłopaka, chcąc pogruchotać mu nogi. Sądził, że ten nie uniknie ciosu wyprowadzonego od dołu. Jednak Aëllnir, kierowany tajemniczym przecuciem, szybko podkoczył, unikając ciosu. Mężczyzna próbował zepchnąć go do zsyphu na odpady, ale chłopak uskoczył. Kopnął napastnika w czułe miejsce, sam dostając pięścią w twarz, aż pokazały mu się gwiazdy. Chwiejnie odskoczył, zadając mężczyźnie szybki cios w brzuch i ten padł jak martwy, tracąc przytomność. Po zakończeniu walki chłopak poszedł powiadomić górnicze straże, aby zabrały prowodyra. Podobne sytuacje miały tu miejsce dość często, więc strażnicy, nie zadając dalszych pytań, zabrali delikwenta do więzienia znajdującego się na powierzchni.

Kończąc szychtę, chłopak od razu odczuł opadającą temperaturę, gdyż tu na dole było strasznie go-

rać, a nagromadzona magia sprawiała, że robiło się nieprzyjemnie duszno i parno. Gdy jej stężenie ulegało zwiększeniu na tyle, że groziło wybuchem, magia gęstniała, stając się niemalże widoczna. Górnik tuż przed śmiercią mógł zobaczyć przepiękne barwy i kształty, zanim odszedł z tego świata, nieczym motyl uwalniający się z kokonu. Wracając szybkim krokiem z Głębnicy, Aëllnir nagle zrozumiał, że chcąc jak najprędzej dostać się do meliny, która była jego domem, skręcił w złą uliczkę. Maszerował dziarsko poprzez otwarte place, które zostały przerobione na gigantyczne slumsy. Obserwował wielkie mury obronne wijące się dookoła miasta, zbudowane na kształt legendarnego węża opiewanego w mitach. Wiedział, że osada była względnie bezpieczna, choć często gdybał, czy zuchwałe ataki jaszczuroludzi znów się nie powtórzą. Spoglądając w tył, zobaczył niewyraźnie Calelne, drobną blondynkę o włosach związanych w warkocz, w schludnym zielonkawym kubraku przylegającym do ciała, trzymającą pleciony koszyk w rękę.

– Co tam masz? – Wskazał ręką na koszyk, który widział jako niewyraźną plamę. – Podpłomyki, moje ulubione, i jeszcze szynka, jajka na twardo. O, suszone śliwki na deser. Rozpieszczasz mnie, dziewczyno. – Chłopak od razu zaczął pałasować zawartość koszyka. Wyjął zza pasa ząbkowany nóż z kościaną rączką i zaczął odkrawać spore kawałki szynki i pożerać w szybkim tempie, napychając się przy tym dużymi kawałkami podpłomyka. Jadł tak szybko, że niemal nie mógł przełykać. Odnalazł jeszcze w środku bułką z czerwonym winem i popił szybko przełykane kęsy.

– Jedz spokojniej, bo jeszcze mi tu się udusisz – powiedziała z uśmiechem dziewczyna. – Jak zjesz, idziemy do Dziupli? – spytała po chwili. Gdy skończył posiłek, popił dodatkowo sporym łykiem wina i dyskutując radośnie, ruszyli szybkim krokiem w stronę swego przyszelego domu. Dziupla Aëllnira i Calelne mieściła się w samym sercu Gór Szczytu Świata, najwyższego pasma górskiego, w centralnej części zachodniego kontynentu.

– Słyszałem, że armia Zjednoczonych Plemion Sevrovii znowu przypuszcza ataki na okoliczne osady. Biorą jeńców w niewolę i poddają ich ciała nieopisanym torturom, starając się przemienić w swych żołnierzy, chorych i zdeformowanych. Płądrują, zostawiając za sobą dymiące zgłiszcza i zmaltretowane truchła poległych. Muszą być niezwykle zdesperowani, że brną na tereny Aydelarthu. Ewidentnie czegoś lub kogoś szukają. Ponoć ich przywódczyni jest istnym wcieleniem zła. Mroczne legendy mawiają, że była kiedyś zwykłą mieszkanką jednej z wiosek, jednak gdy została posądzona o kontakty z bbóidhem i odprawianie krwawej magii, wtrącono ją do lochu. Jej rodzinę również pojmano i srogo torturowano. Dziewczyna najbardziej żalowała jednak swej młodszej siostry, z którą łączyły ją głębokie, niemal paranormalne więzi.

– To zwykle bajki, wymyślone, aby straszyć dzieci – wtrąciła kpiąco Caelne, po czym przyłgnęła mocniej do swego ukochanego. Aëllnir to zauważył i tylko się uśmiechnął, obejmując ją mocniej.

– Aniëlra Salrāwa, gdyż tak ją zwą – ciągnął chłopak – była istną dobrocią. Kochała zwierzęta, przyrodę i wszystko, co żywe. Jednak podczas wielu dni tortur nastąpiła w niej ogromna, odstręczająca przemiana. Gdy zamierzano ją stracić na głównym placu, dziewczyna przemieniła się w żadnego krwi demona, ponoć przywołanego przez samego bbóidha. Zabijała bezlitośnie oprawców swej rodziny i brała słoną zapłatę za wyrządzone krzywdy. Zmasakrowała i zakatowała również wielu mieszkańców swej wioski. Krwawa pomsta trwała wiele dni, aż w końcu dziewczyna obrała panowanie nad całą krainą, rozpoczynając dzikie poszukiwania na rozkaz mrocznych mocy, w sobie tylko znanym celu. Aż ciarki po plecach przechodzą na myśl, że mogliby wkroczyć do Hallibriar. Dość tych strasznych historii, odprowadzę cię do domu, bo jest już późno. Twój rodzice z pewnością znów się martwią – przygarnął ją bliżej siebie i przytulił namiętnie. Ich usta się spotkały. Caelne była ciepła, pachniała żywicą i kadzidłem. Jej usta były miękkie i delikatne, a dotyk Aëllnira sprawił, że się odprężyła. Odplynęła. Caelne wypełniła się spokojem i pożądaniem, rozluźniła wargi i gardło do namiętnego krzyku. Chłopak przywarł do niej, przytulając opiekuńczo i szepcząc namiętne słowa. W tym samym czasie jego spracowane dłonie nieustająco pragnęły więcej i więcej. Widział ją oczyma duszy, co pozwalało mu chłonać ją całą, głębiej, namiętniej, jej szyję, dekolt i piersi. Wiedział, że jest dla niego wszystkim. Caelne poczuła, jak jedwabne skrzydła namiętności rozwijają się, odpędzając wszelkie zahamowania. Poczuła, jak wymyka się z uścisku przyzwyczajoności i opada w bezdenną przepaść, coraz głębiej i głębiej, a on zanurzył się w ciepłotkę i mokre jezioro miłości i żądzy. Cały świat przestał dla nich istnieć, byli sami, tu i teraz. Jęknęła głośno, szczęśliwie. Skóra Caelne parzyła żywym ogniem, a aksamitne i wilgotne wargi złożyły ponowny, soczysty pocałunek na jego ustach. Caelne jęknęła znowu.

– Kocham cię, Caelne – szepnął Aëllnir, ostrożnie dotykając jej piersi. – Nigdy cię nie opuszczę, nigdy. Już zawsze będziemy razem. Długo jeszcze trwali spleceni w pożądaniu, aż nasycili się sobą do upojenia.

Następnego ranka Aëllnir chciał szybko wyjść z meliny. Pijany ojczym jeszcze spał. Chłopak odział się pospiesznie w czarne szarawary, płócienną koszulę i sięgające do kostek buty z grubej skóry. Śpiącą matkę pogłaskał po posiwiałych włosach, składając na nich delikatny pocałunek. Zwinnymi susami ominął zalegające na podłodze puste dzbany po winie i wyszedł za próg domu. W osadzie panowało dziwne zamieszanie. Mieszkańcy tłoczyli się w okolicach głównego placu i energicznie rozmawiali. Widocznie byli czymś poruszeni. Chłopak doszedł na miejsce

zbiegowiska i spotkał tam Caelne. Zaintrygowany spytał, co się stało.

– Ponoć Ekhlarn, syn Rahalraga, powrócił – odpowiedziała rozemocjonowana. – Od lat go tu nie widziano. Ostatni raz, gdy zabrała go armia Aydelarthu. Wszyscy myśleli, że nie żyje.

– I to wzbudziło takie ogromne zamieszanie? – spytał z niedowierzaniem chłopak. – Przecież to nikt ważny.

Przybysz przywdziewał zdobny pancerz bojowy centurionów z Imperium Aydelarthu. Cały skąpany był we krwi, lecz nie to było najdziwniejsze. W rękę niósł osobliwy jarzący przedmiot, który oslepił zebranych drogocennymi klejnotami. Głęboko pod jego powierzchnią zdało się zauważyć majestatyczne złote błyski. Na plecach niósł skrzynię w kształcie trumny. Wyglądał jak chodząca śmierć. Z nikim nie zamienił nawet słowa i od razu podążył do swego dawnego domu. Nie czekały tam jednak na niego radosne wieści. Aëllnir nie był zbyt zainteresowany tym wydarzeniem. Nie ciekawiły go plotki i życie innych. Dbał jedynie o to, aby mogli wyrwać się w końcu z tej zatęchłej dziury.

– Musimy to zbadać. W nocy zakradniemy się do niego i zobaczymy, cóż to za przepiękny przedmiot przyniósł ze sobą – powiedziała z szyderczym uśmiechem Caelne. Rozsądek podpowiadał jej, że może lepiej zostawić go w spokoju, jednak pokusa okazała się silniejsza. Za sprawą wilgoci i silnego wiatru dziewczyna zaczynała się trząść, jednak nie zniechęciło jej to ani trochę w przeprowadzeniu lekkomyślnej, nocnej eskapady.

Olbrzymich rozmiarów kominek zdawał się wygaszony od dziesięcioleci. Archaiczne obrazy olejne przedstawiały pradawne bitwy i mitycznych herosów. Kamienne ściany pozbawione były ozdób, a sklepienie stropu i stara, drewniana podłoga nosiły ślady próchnicy i pleśni. W zrujnowanym pomieszczeniu siedział na drewnianym krześle nagi, stary mężczyzna, wpatrujący się z szaleńczą żarliwością w gorejącą skrzynię, leżącą na środku pokoju. Siwe włosy opadały mu na umięśnione i wysuszone ramiona, w które wbił aż do krwi długie i połamane paznokcie. Drżące światło pochodni ukazywało blade oblicze przepelnięne najczystsza grozą, która teraz wypełniała postać starucha. Po pewnym czasie obserwacji, Ekhlarn osunął się z krzesła i padł na podłogę z głuchym łupnięciem. Wyglądał jak nieżywy.

– Starzec chyba umarł, chodźmy to sprawdzić. Zobaczymy, cóż to za prześliczny, świeczący przedmiot – powiedziała z ekscytacją w głosie Caelne, po czym kontynuowała: – Może wart jest fortunę, dzięki której w końcu zamieszkamy razem. Musimy go zdobyć.

Dziewczyna pospiesznie zaczęła szukać wejścia do budynku. Gdy znalazła okiennice, gdzie deski były bardziej obluźwane, zaczęła się z nimi chwilę szamotać i weszła energicznie do środka.

– Wilczku, tutaj – zawołała zdrobniale Caelne do swego ukochanego, wychylając się przez zdewastowaną okiennicę. Aëllnir podbiegł do niej, a porywisty wiatr rozwiał jego czarne włosy. Dziewczyna złapała go za rękę i wciągnęła do środka. Nie był zbyt zadowolony, lecz wgramolił się do pomieszczenia i oboje zniknęli w przepastnym mroku.

Weszli do małego pokoiku, który był w równie marnym stanie, jak pomieszczenie, w którym przebywał Starzec. Większość pokoiów była zrujnowana i przypominała obleczone kurzem, dawno porzucone krypty. Domostwo wypełniały stare przedmioty, wyglądające jak z zupełnie innej epoki. Zakurzona kołyska, obdrapana toaletka czy porozrzucane książki były jedynie lekko widoczne, dzięki migoczącemu światłu pochodni, które wpadało z sąsiedniego pokoju. Słaby blask nieznacznie rozrywał smolisty mrok. Wiszący w korytarzu zegar tykał z zapalczywością, niejako oderwany od umierającego otoczenia.

Wychodząc ze wstrętnego pokoju, weszli w głąb korytarza, ciasnego i równie zniszczonego, jak reszta domostwa. Starali się zachować ciszę, jednak echa ich kroków odbijały się od sklepienia budynku, a trzeszczenie starych desek również zdradzało ich obecność. Aëllnir szedł przodem, gdyż jego oczy były przyzwyczajone do ciemności. Nagle usłyszeli szuranie i ociężałe kroki kulejącej postaci, wraz z którymi rozprzeźrzała się mocny i intensywny smród, ogarniający całe otoczenie. Jakaś zgarbiona sylwetka zamajaczyła przed nimi i wzniosła wysoko pochodnię, a jej blask oświetlił twarz tak odstręczającą, że Caelne i Aëllnir od razu zaczęli uciekać z krzykiem. Pobiegli szybko w przeciwną stronę, aby uciec jak najdalej od ścigającej ich postaci. Wykonali skręt w boczny korytarz i szybko wyłonili się w kolejnym niedużym pokoju, gdzie okno również było zabite deskami. Chcieli wybiec z pomieszczenia i poszukać miejsca, którym weszli, jednak w odrzwiach stanął nagi i pokrzwawiony Starzec.

– Co robicie w moim domu? – zaskrzeczał głosem zimnym jak lód.

Ekhlarn wyglądał na chorego psychicznie, jak i fizycznie. Nie utrzymywał już kontaktu z rzeczywistością, a jedynie ze swymi mrocznymi i okrutnymi majakami. Po pewnej chwili przekrzywił dziwnie głowę i ryknął: – Umrzecie wraz ze mną dzisiaj-sej nocy!

Aëllnir nie wahał się. Podbiegł do starca i szybkim ruchem wytrącił mu pochodnię z ręki. Ta upadła na spróchniałą podłogę, zaczynając powoli zajmować ogniem stare szmaty. Zostali uwięzieni jak szczury w klatce. Ekhlarn wydał tylko nieartykułowany skrzek, który bardziej przypominał głos demona niżli człowieka. Aëllnir wiedział, że nie mają innego wyjścia i podjął desperacką walkę. Wyczuł pod stopą ułamaną deskę. Szybkim ruchem chwycił ją i zamachnął się na starca, lecz ten nie dał się zaskoczyć i złapał napastnika za gardło. Chłopak zaskrzeczał i zawisł

w powietrzu. Ekhlarn wyszedł z obscurnego pomieszczenia, ciągnąc za sobą duszącego się nieszczęśnika. Caelne chciała oswobodzić ukochanego, jednak na widok starca cofnęła się o krok, stłumiła mimowolny pisk i spojrzała w przestrachu na ową przerażającą postać. Walczyła z odwiecznym strachem, czającą się w głębi jej wnętrza, pełnym zabobonów zasłyszanych z dzieciństwa. Makabryczne, przerażające historie o potworach i demonach czających się w prastarej ciemności, które opowiadała dziewczynie ukochana babka, na nowo ożyły w jej umyśle.

Ekhlarn kierował się do pokoju, w którym został jaśniejszą skrzynię. Gdy weszli do pomieszczenia, włożył pochodnię w głąb niszy, a jego postać zdała się bardziej wyraźna i przypominała teraz upiora z przepastnych czeluści Vyrāju. Nagi mężczyzna całe ciało miał poznaczone bliznami, a jego oczy płonęły żarliwym blaskiem. Spojrzał na Caelne i dziewczyna od razu poczuła ciarki biegnące po kręgosłupie. Wówczas wysoki starzec chwycił mocniej chłopaka za gardło i pociągnął w stronę gorejącej skrzyni, a ten począł dusić się coraz mocniej. Zacharczał i zaczął miotać rękami i nogami na oślep, lecz nadaremnie. Rozgorączkowany trwogą, podjął beznadziejną walkę z o wiele silniejszym przeciwnikiem. Ekhlarn przysmusił chłopaka, by ten uklęknął przy skrzyni.

– Zobaczmy, cóż tam ukryli w środku ci szaleni bogowie – rzekł do niego głosem pełnym odrazy. Przerwał na moment swoje dziwaczne wywody, aby po chwili kontynuować: – Zajrzyjmy do środka, ślepcze. Dobrze, że twój wzrok został już uszkodzony!

– Zostaw go! – Caelne dobiegła do Ekhlarna i zaczęła okładać go zajadłe pięściami. – Zostaw, puść go! – wrzeszczała, lecz ten nie reagował. Zaciskał tylko mocniej stalowy uścisk na szyi chłopaka, aż temu oczy niemal nie wyszły z orbit, uwidaczniając znajdujące się w nich bielma. Nagle Starzec szybkim ruchem przysmierzył się do rozerwania wieka skrzyni. Chłopak zaskrzeczał jedynie resztkami sił:

– Caelne schowaj się, szybko!

Wtem dziewczyna odskoczyła i pospiesznie skuliła się w swych ramionach, a pomieszczenie wybuchło światłem tak jasnym, że gdyby Caelne nie zasłoniła oczu, jej wzrok również zostałby uszkodzony. Twarz starca wykrzywiła się w kwaśnym uśmiechu, aż zazgrzytały mu zęby.

– Co?! – Wyrzucił z siebie zaskoczony. – Przez to gównu musiało zginąć tak wiele istnień, które noszą teraz w sobie? – powiedział wściekły z bólu i rozpacz. – Słyszysz je, chłopcze? – Nagle przycisnął Aëllnira do siebie, a czarna aura otaczająca starca zdała się narastać. Krzyki i lamenty potępionych dusz wypełniły całe pomieszczenie ogarnięte szalejącymi płomieniami. – Słyszysz je?! Słyszysz?! – wrzasnęła, aż Aëllnirowi niemal pękły bębenki w uszach. Mroząca krew w żyłach scena zdawała się trwać wiecznie.

– Ha, ha, ha! – zarechotał Ekhlarn. – Dla czegoś tak małego cały świat jest w stanie się powyrzynać.

Marni głupcy! Potępieni bogowie! Szukacie potęgę i dawnej magii, a znajdujecie jedynie śmierć. W świątach poza Gajhëllrjarg istnieją magiczne drzwi, za którymi również czai się rozkład – Starzec bełkotał i coraz bardziej zdawał się mówić zagadkami. – Drzwi ukryte przed wzrokiem śmiertelników przynoszą jedynie chaos i pożogę. Tak wiele przelanej krwi, tak wiele... – nagle zapanowała dziwna cisza, która wkroczyła w dusze nieszczęśników znajdujących się w pomieszczeniu, pochwyliła ich serca i omotała mózgi.

Ekhlarn, nadal ściskając chłopaka, uniósł w wolnej ręce wydobyty ze skrzyni przedmiot. Starzec otworzył usta i zaczął mamrotać prastare zaklęcia w Zamierzchłej Mowie, nie wypowiadając jednak żadnego zrozumiałego słowa. Cisza, umiejająca zniszczyć duszę, cofała się i ustępowała coraz bardziej i bardziej, aż zniknęła. Trzymany w ręce starca Świetlisty Kryształ zaczął nagle tracić blask i przemieniał się w dziwaczny kamień, paskudnie czarny i lepki w dotyku niczym smoła. Ekhlarn puścił chłopaka, a mazista skała wypadła mu z drżącej dłoni. Chłopak padł na kolana i zaniósł się drażniącym kaszlem, zakrywając ręką usta, pluć obficie gęstą i lepką plwociną. Zaczął łapczywie łapać kolejne hausty powietrza, walcząc o życie. Nie czekał długo i wyskoczył w górę, zadając Ekhlarnowi silny cios pięścią prosto w skroń. Ten jednak tylko się zachwiał. Nadszedł kolejny cios i kolejny, a starzec wcale się nie bronił. W końcu padł na starą podłogę, która kiedyś była częścią jego domu, a ze skroni pociekła mu krew. Nagle trzecie oko na jego czole poczęło się otwierać.

– Wyczuwam w tobie prawdziwą moc Düszyeli. – Chłopak nagle znieruchomiał i zaprzestał dalszych ciosów, zaciekawiony słowami starca. – Twoja żądza krwi jest ogromna. Yirhëllrgir cię pragnie, wyrwa się do ciebie i chce opuścić moje zniedołężniałe ciało. Nie jestem w stanie nosić go dłużej w sobie. Moje parzywe dni się kończą, umrę dziś w nocy. Nareszcie – mówiąc te słowa, trzecie oko na jego czole otworzyło się w pełni, a z jego czaszki zaczęło wydostawać się coś przerażającego.

Budynek był już praktycznie w całości zajęty ogniem i nie było dokąd uciekać. Caelne zaczęła się gorączkowo rozglądać, jednak nigdzie nie widziała drogi ucieczki. Wyglądało na to, że spłoną razem, żywcem. Przed oczami chłopaka pojawiło się osobliwe monstrum i spojrzało na niego. Aëllnira ogarnęło paraliżujące przerażenie. Złe i okrutne wynaturzenie Chaosu, przypominające kształtem lewitujące jajo w stadium larwalnym, pokryte było skapującą obficie, wywołującą paraliż wydzieliną. Posiadało w swym środku ogromne, gadzie oko, wzierające z zjadłą żarliwością. Był ten był pełen wściekłości i nienawiści, obleczony w łuskowaty pancerz, z którego wyrastały rogowate narośla. Nie posiadając ust, potrafił jednak porozumiewać się, szepcząc śmiertelne klątwy. Istota ta poruszała się przy pomocy lewitacji i wykorzystywała do swych mrocznych sztuk magię ciemności.

– Nie daj się, chłopcze, walcz z tym – powiedział starzec, coraz bardziej opadając z sił. Umierał.

– Co to u licha jest? – krzyknęła przeraźliwie Caelne i rzuciła się na pomoc ukochanemu, jednak od razu została odepchnięta przez coś w rodzaju magicznej bariery, którą stworzyło prastare monstrum. Bestia oddzielała od siebie i przyszłej ofiary potencjalne zagrożenia, które mogłyby przeszkodzić w przejściu ciała żywiciela.

– To monstrum stało się moim przekleństwem – powiedział z żałością Ekhlarn. Zakaszał, a jego ciałem wstrząsnęły silne przedśmiertne konwulsje, jednak po chwili kontynuował. – Zwią to Yirhëllrgirem. Z początku daje ogromną moc i kusi obietnicami potęgi oraz władzy, aby w efekcie wyssać z nieszczęśnika resztki energii życiowej i porzucić jak niepotrzebnego śmiecia.

– Aëllnirze! Słyszysz mnie? To ja, Caelne. Walcz z tym! Walcz! – krzyczała z całych sił, jednak chłopak stał jak wryty i nie reagował na desperackie nawoływania.

– Tak wiele straciłem... Nareszcie moja udręczona dusza będzie wolna. – Starzec zaśmiał się szaleńczo, a jego twarz przybrała groteskowy wyraz. – Mavellro leży teraz pochowany razem z moją żoną oraz synem i na pewno wszyscy są w Świetlistym Vyrāju. Marzę, aby wziąć ich w ramiona i ucałować rzewnie. Nie wypuściłbym Baesabetty już nigdy ze swych objęć, a syna nauczyłbym posługiwać się orężem, choć nie sądzę, aby było mi dane się z nimi kiedykolwiek zobaczyć.

Nagle jego ciałem wstrząsnęły straszliwe torsje. Przerazające płomienie były coraz bliżej. Dym zaczął gryźć płuca dziewczyny. Oddychała z coraz większym trudem, aż padła na ziemię. Wołała i szlochała, lecz chłopak jej nie słyszał. Płomienie zaczynały lizać jej skórę, a ona płakała ze smutku, bezsilności i z powodu coraz gęstszego dymu unoszącego się w płoną-cym budynku.

– Myślicie, że zabijałem dla przyjemności? Sądzi-cie, że tak głęboko jestem zepsuty, bym mógł posunąć się do takich potworności? Wiedzi-cie, że ten stwór mnie zdegenerował i wypaczył. Przez tę obscurną potworność zatraciłem resztki swej marnej duszy... Przed zainfekowaniem przez tę szkaradę nikogo jeszcze nie uśmierciłem! – Dławił się własną krwią, a jego głos stawał się coraz cichszy. – Uważacie, że nie zasługuję na odkupienie? Macie mnie za bez-dusznego potwora, jednak ja chciałem uczynić tylko coś znaczącego w tym zasnętym życiu... – Przerwał na chwilę, a lzy pociekły mu po zakrwawionym policzku. – Chciałem... – kontynuował – aby moja żona i syn byli ze mnie dumni. Chciałem choć przez krótką chwilę być kimś... Ja... ja jedynie... – Wypowiadając te słowa, zakrztusił się krwistą pianą i umarł, a na jego czole ziała okropna dziura po niedawnym pasożycie, z której obficie ciekła krew, znacząc spleśniałe deski szkarłatem.

Aëllnir patrzył zdezorientowany, to na przerażoną Caelne, to na obleśnego demona. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, to niechybnie zginą w objęciach płomieni. Yirhëllrgír podszeptywał zdradzieckie wskazówki, aby chłopak przyjął go w głąb siebie, dzięki czemu ocali własne życie i ukochaną. W innym przypadku oboje niechybnie spłoną żywcem. Caelne cofała się przerażona przed naporem niszczycielskiego żywiołu, jednak nie miała już dokąd uciec. Gdy płomienie ją dosięgły, zakwiliła z bólu. Na ten widok Aëllnirowi po policzku popłynęły łzy bezsilności. Postanowił, że pozwoli owładnąć się temu plugastwu, aby tylko ocalić swą ukochaną.

Caelne obserwowała całą scenę z grozą i brakiem nadziei. Chciała krzyknąć, jednak głos zamarł jej na różowych ustach. Chłopak otworzył swoje, padł na kolana i patrzył w sufit zupełnie nieobecnym wzrokiem, beznamiętnie wpatrzony w próżnię. Monstrum, które dotychczas cały czas było przed nim, teraz powoli i miarowo kierowało się w stronę jego rozwartych warg. Chłopak rozwarł je jeszcze szerzej z obleśnym gulgotem, a Yirhëllrgír zagłębił się w swym nowym nosicielu. Aëllnir starał się opierać, myśleć o ukochanej, jednak tracił kontrolę nad własnym ciałem, umysłem oraz swoją duszą. Czuł się jak rozbity gliniany wazon, z którego obficie wylewa się krwistoczerwone wino. Czuł, że zaczyna tracić własne sumienie i wszelakie uczucia. Był jak otwarta rana. Szaleńcze wrzaski i klątwy demona wbiły się ostro w jego duszę, rozrywając ją na milion kawałków. Wstrząsały nim torsje, kręciło mu się w głowie, aż wreszcie padł na podłogę.

Walczył ostatnimi resztkami sił o zachowanie, choć cząstki swej dawnej osobowości. Próbował stawić czoła bluźnierczym atakom demona, choć nie czuł już własnego ciała. Zapadł się w sobie i czuł się niczym obleśny upiór. Potwór zniknął w nim cały.

Aëllnir zamknął usta i po pewnej chwili spojrzął na Caelne wzrokiem, którego dziewczyna nie widziała nawet w najgorszych koszmarach. Opętany chłopak wypowiedział słowa, wtedy dla niej niezrozumiałe i odstręczające.

– Esh nehëllg yiretulüg, esh nezg gimretul, esh nehëllg aumtulüg egh degum-igir girmpelgir – Tak przemawiał każdy z Düszycieli, który stawał się potępionym Upiorem Yirhëllrgíru. Odzyskał wzrok i patrzył na nią. Jednak to nie były oczy jej ukochanego, a prastarego demona, z którym była teraz uwięziona w ogarniętym pożarem budynku. Z bezsilności i trwogi wyrwał ją hałas dobywający się gdzieś z góry. Popatrzyła w tamtą stronę i spostrzegła, że belki stropowe pod niszczycielskim wpływem płomieni zawalają się wprost na nią z przeraźliwym trzaskiem. Wiedziała, że zginą przez jej lekkomyślny pomysł i chęć zdobycia drogocennego skarbu. Nie chciała pozabawić się marzeń o lepszym życiu. Tymczasem oddała by wszystko, gdyby to tylko mogło ich teraz uratować. Nie miała już siły się poruszyć. Caelne zaszlochała i zamknęła oczy. Ciemność spowiła ją niczym kokon.

Jakub Soborak – gorzowianin do szpiku kości. Rocznik '85. Opierający się systemowi miłośnik zimnej muzyki, czarnej poezji i osobliwych myśli oscylujących wokół magii, teorii spiskowych i dziwów. Absolwent techniki dentystycznej, niebojący się pracy fizycznej, od budowłanki i grzebania w ziemi po pracę przy recyklingu. Trudnił się i trudni różnymi pracami, lecz zawsze jego myśli zmierzają ku dziwacznym i mrocznym wizjom... Lubi psy i koty. Redaktor w magazynie „Kyaa!”, bloger, poszukiwacz antykwarycznych woluminów i innych starych szpargałów. Niniejsze opowiadanie w zamierzeniu jest częścią większej całości, składającej się na cykl gajhëllryjski.

Zmierzch bogów

Sylwester II, Biskup Rzymu, Z Łaski Bożej Papież Do Ottona III, Z Bożej Łaski Świętego Cesarza Rzymskiego

Bracie w Chrystusie,

Przyjmij na swoje serce najszersze pozdrowienia od skromnego Biskupa Rzymu. Niech Bóg błogosławi Tobie za wspieranie naszej wspólnej idei powszechnej monarchii chrześcijańskiej. Dzięki zgodnej współpracy Tronu Piotrowego i Tronu Cesarskiego prawdziwa wiara Pana Naszego Jezusa Chrystusa może zakwitnąć także wśród niewiernych Saracenów. Ze Stolicy Piotrowej ślę więc chrześcijań-

skie pozdrowienia i dzielę się z Waszą Cesarską Miłością sprawami największej wagi, które spoczywają na moim sercu, niczym kamień młyński wrzucony w wodę.

Pragnę zaznaczyć, że tego listu nie powinno zobaczyć inne oko poza cesarskim. Jeśli ktoś dowiedziałby się o sprawach, które tutaj podnoszę, mogłoby to wywołać tumult i zamieszki, jakich nie widziano od wieków. Są sprawy przeznaczone tylko dla męźnych serc ludzi wielkich. Serc, w których nie łatwo rodzi się strach. Wasza Cesarska Miłość jest jedyną osobą, z którą ja – papież, mogę podzielić się sekretem, od którego zależeć mogą losy tego świata, podarowane-

go ludziom przez Boga. Ufam, że tak, jak wspierałeś mnie od czasu objęcia urzędu arcybiskupa Rawenny, tak również w tej delikatnej sprawie wspierać będziesz radą oraz całą mocą cesarskiej władzy. Nie jestem wszak pewien, czy siły, z którymi przychodzi mi się zmierzyć, są natury duchowej czy też ziemskiej. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że im bliżej jesteś Boga, tym Jego przeciwnik z większą mocą próbuje odwrócić nas od Chrystusa i tym zajadlej kąsa językiem siarki i ognia.

Mój drogi Bracie, na pewno doszły do Ciebie słuchy o tym, że jeszcze u Saracenów będąc w Hiszpanii – gdzie posłał mnie czcigodny opat klasztoru z Aurillac, gdym u dzierzeniu kluczy Św. Piotra nie marzył nawet – poznałem nauki uczonych z Arabii. Pozwoliło mi to uzyskać biegłość w astrologii i arytmetyce. Prosty lud umiejętność liczenia przypisał czarnoksiężstwu. Powiadali, że duszę sprzedałem Lucyperowi za arkana wiedzy tajemnej. Że w swojej papieskiej komnacie trzymam odlaną z brązu głowę, która przyszłość przepowiada. Na pewno Święty Cesarz wie o tym, że to nie tyle Wasza Cesarska Miłość dopomogła Gerbertowi zasiąść na papieskim tronie, by spełniła się wola Boga, ile było to dziełem niewiedzącego demona o imieniu Meridiana. Takie, a i wiele więcej plugawieństw, nie tylko lud rzymski w Świętym Mieście, ale i inni poddani Cesarza, w całej monarchii opowiadają o swoim pasterzu. Są noce, gdy budzę się w mokrej koszuli, ja – papież, Primus Inter Pares, z obawy przed tym, że moja owczarnia mogłaby podnieść rękę, by wygnać mnie z Lateranu. Dlatego też lasce Cesarskiej Miłości pozostawiam to, aby treść niniejszego listu pozostała pomiędzy papieżem a cesarzem po Dni Ostatnie z obawy przed paniką współpolsstwa. Być może nie będzie to długi okres.

Jak Wasza Miłość wie, Sylwester I, którego naśladuję na piotrowym stolcu, w Roku Pańskim 317 zamknął w podziemiach pałacu Lewiatana – ogromnego morskiego węża. Święty Ewangelista Jan w rozdziale dwudziestym Objawienia pisze o tym tak: „Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czeluści i wielki łańcuch w ręce. I pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wtrącił go do Czeluści, i zamknął, i pieczęć nad nim położył, by już nie zwodził narodów, aż tysiąc lat się dopełni. A potem ma być na krótki czas uwolniony”. Jak Czcigodny Brat w Chrystusie widzi, nie jest jeszcze czas na opuszczenie przez Bestię lochu, w którym zamknął ją mój poprzednik. Jednak prosty lud, który nie zna cyfr, uznając je za wynalazek szatańskich Saracenów, żywi przekonanie, że oto w tym roku, w którym obecnie żyjemy, Wielki Wąż opuści swoje więzienie w podziemiach Lateranu. Rozpoczęcie Roku Pańskiego 1000 jest związane z powszechnym oczekiwaniem na Koniec Świata i Ponowne Przyjście Naszego Pana. Strach, jaki się z tym wiąże, powoduje panikę wśród ludu. Jako papież muszę podjąć kroki celem uspokoi-

jenia mojej trzody i wiania otuchy w ich serca. Z największym bólem muszę jednak napisać, że nie jestem w stanie tego zrobić. Moje ręce związane są strachem. Moje serce przepełnia lęk. Tylko godność papieskiego tronu sprawia, że nie opuściłem Lateranu. Z pełnym przekonaniem, zaświadczać Waszej Cesarskiej Miłości o prawdziwości moich słów, oświadczam, że Bestia jest bliska opuszczenia swojego lochu. Koniec danego nam przez Boga świata jest bliski. Wiem to od demona, o którym szepcze lud. Przepełniony lękiem, prosząc jak Brat Brata o pomoc, wyznaję swoje grzechy. Meridiana istnieje. Od czasu opuszczenia Aurillac, pełen magicznej wiedzy przekazanej mi przez mędrców z Arabii, kontaktuję się z istotami, które, jak twierdzą Arabowie, nie pochodzą z tego świata. Od tamtej pory pomagają mi one, przepowiadając przyszłe zdarzenia i pozwalając uniknąć niebezpieczeństw. Mówiły, że miały nadzieję, iż jako wykształcony papież pełen światłych idei, wyprowadzę lud z ciemności niewiedzy. Tak też próbowały za pomocą pochlebstw wzbudzić we mnie nieskromną pychę. Nazywają siebie „bogami”. Oni to mają być Elohim z hebrajskiej Księgi Rodzaju. To o nich jest mowa w Księdze, gdy Bóg rzecze: „Uczyńmy człowieka na nasze podobieństwo, podobnego Nam”. Twierdzą, że to oni nas stworzyli. Ze opiekują się nami. Te demony. Niech Bóg wybaczy mi moje zaślepienie.

Pierwszy raz spotkałem te istoty po roku pobytu w klasztorze Santa María de Ripoll w Katalonii. Arabscy uczeni, z którymi prowadziłem polemiki, opowiadali mi plugawe herezje o tym, że jesteśmy zawieszeni nad nicością, a takich miejsc jak nasz świat jest dużo więcej i mieszkają tam ludzie podobni do nas. Podejmowałem starania celem doprowadzenia tych zagubionych owiec do świętej wiary chrześcijańskiej, dlatego zgodziłem się wziąć udział w spotkaniu z ludźmi z innego świata, o których mi mówili. Bóg mi świadkiem, że nie wierzyłem w prawdziwość słów tych Maurów, ale chciałem zyskać ich przychyłność, aby następnie całe ich rodziny przeprowadzić z grzechu do światłości Chrystusa. Jest prawdą, Wasza Cesarska Miłości, że zafascynowałem się cudowną arytmetyką, którą władają innowiercy. Ich nawrócenia pragnąłem, aby swoją wiedzą i umiejętnością służyli chrześcijańskiemu cesarstwu, już nie jako dzieci Szatana, ale jako synowie Chrystusa. W głębi serca jestem przekonany, że zrozumienie zawilości świata liczb pozwoliłoby nie tylko na wzmocnienie cesarstwa, ale przyczyniłoby się do lepszego poznania Boga. Niech za przykład posłuży nam gematria, nauka żydowska, która każdej literze przypisuje wartość liczbową. Jeśli Wasza Miłość, czytając Święte Pismo, posłuży się przekładem liter na liczby, może poznać głębię prawd, które Bóg ukrył przed prostaczkami. Czasem trwożyłem się w sercu nad pochodzeniem sztuki, którą mahometanie z taką biegłością się posługują. W ich arytmetyce pojawia się chociażby coś, co nazywają „zerem”. Coś czego nie ma, coś, co nie

istnieje, zostało przez Arabów opisane w formie czegoś, co istnieje - koła. Zaiste diabelski znak. Proszę jednak wierzyć, Wasza Cesarska Miłości, że jeszcze nie będąc biskupem świata, nie dałem się zwieść szatańskim pomysłem. Wszystko, co jest użyteczne z wiedzy Maurów, pochodzi od Boga, a co ponadto, od Jego przeciwnika i oskarżyciela pochodzi. Okrucy Świętej Wiedzy Duch Boży rozrzucił po świecie. Zbierają je narody, ale to wiara Rzymskiego Kościoła najpełniej odzwierciedla Boże Przesłanie.

Zgłębiając arabskie cyfry, starałem się dopełnić naszą wiedzę o tym, czego Chrystus oczekuje od swojego ludu. W tym celu udałem się na spotkanie z wyznawcami Mahometa, na którym mieli przywołać istoty zamieszkujące świat znajdujący się ponad naszym. Według nich te istoty, które nazywali „bogami”, zamieszkują wśród gwiazd. Jeśli spojrzeć na nocny firmament, to tuż nad horyzontem można zobaczyć skupisko światel, które grecy nazwali Canis Majoris, a więc Wielkim Psem. Znajduje się wśród nich najjaśniejsza z gwiazd, po Gwieździe Porannej, Kanikuła – Psia Gwiazda. Według mahometan, to stamtąd, z jednej z najjaśniejszych gwiazd, miałby pochodzić bogowie. Na tłumaczenia, jak absurdalne jest to twierdzenie, wysuwały obrazoburczą argumentację, że my również wierzymy, zgodnie ze słowami Modlitwy Pańskiej, w Boga, „który jest w Niebie”. Zwiedzeni przez Szatana i jego sługi nie potrafili zrozumieć prawdziwego sensu słów Naszego Pana i Wybawiciela, mylnie rozumiejąc przebywanie Boga w Niebiosach.

Tego wieczoru przyszedłem zgodnie ze wskazówkami na polanę znajdującą się na wzgórzu nad rzeką Ter. Ku mojemu zaskoczeniu Maurowie ustawili tam wielkie lustro, które zajmowało prawie całą powierzchnię polany. Przypominało wklęsłą soczewkę odbijającą światło i skupiającą promienie słoneczne. Ktoś z obecnych tam mężczyzn powiedział mi, że szkło zostało wypolerowane przez najlepszych arabskich szlifierzy. Gdy spojrzałem do wewnątrz lustra, ujrzałem otwór prowadzący w głąb. Szklana tafla spoczywała na podwyższeniu, a w jego środku znajdowało się puste miejsce przeznaczone na, jak się dowiedziałem, płonące kamienie. Ze względu na to, że cała ta inscenizacja odbywała się w nocy, Arabowie rozpalali wewnątrz lustra ognisko jako źródło światła. Lustrzana soczewka odbijała i potęgowała światło, a dzięki przemysłnemu systemowi kanałów odprowadzających dym, jej powierzchnia pozostawała niezmacona. Po rozpaleniu ogniska promień światła skierował się prosto w niebo. Minęło zaledwie kilka chwil, nim jedna z gwiazd na niebie oderwała się od firmamentu i zaczęła rosnąć, zbliżając się do nas. Błysk światła musiał być umówionym sygnałem zapraszającym na spotkanie. Gdy gwiazda znajdowała się w odległości mili, mogłem dojrzeć jej kontury. Była ona w rzeczywistości statkiem wielkości karaweli, ale pozbawionym żagla, całym z żelaza. Zaiste,

niech Najjaśniejszy Cesarz wyobrazi sobie moje zdumienie, gdy nad naszymi głowami zawisł żelazny statek latający w powietrzu. Lśnił oślepiającym blaskiem, który nieco przygasł gdy zatrzymał się nad nami. Po jego centralnych zewnętrznych krawędziach przebiegały iluminatory, ale niczego nie mogłem przez nie dostrzec. Dziś wiem, że statek napędzany był ogniem i siarką z diabelskich czeluści, dlatego nie potrzebował żagla.

W pewnym momencie spod statku wyrósł słup światła sięgający ziemi. Wśród zgromadzonych dało się wyczuć rosnące podniecenie. Ze snopu światła wyszła mała istota przypominająca dziecko. Miała wielką głowę i bardzo drobne ciało. Ten demon przypominał wynaturzenia pokazywane za kilka solidów w wędrownych francuskich namiotach. Oszpecone, nienaturalne dzieci matek, które grzeszyły będąc w błogosławionym stanie, lub karykaturalne infanty z wodą w głowie, cierpiące za grzechy swoich pradziadków, dziadków, ojców do siódmego pokolenia. Gdy istota opuściła krąg światła, promień skurczył się w sobie i zniknął. Polanę oświetlał jedynie blask ogniska i poświata wokół statku z żelaza. Zbliżyłem się do tej kreatury, by lepiej wszystko zobaczyć, ale ona nawet na mnie nie spojrzała, tylko ruszyła pewnym krokiem do jednego z Maurów nazywanego Ismail. Mimo, iż wraz ze mną było tam siedmiu mężczyzn, ten demon od razu skierował się do jednego z nich. Było dla mnie jasne, że to nie pierwsze spotkanie Arabów z tym stworzeniem. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu usłyszałem w głowie głos tej istoty, choć widząc ją z boku byłem pewien, że nie poruszyła ustami. Jej słowa jakby rodziły się w mojej głowie. Pozdrowiła wszystkich mężczyzn bluźnierczo, zmieniając słowa anielskiego pozdrowienia, jakie archanioł skierował do Najświętszej Pani. Nie pomnę dziś słowa w słowo, jak przebiegała rozmowa Saracenów z tym dziwnym przybyszem, którego płci nie byłem w stanie określić, a który być może płci wcale nie posiadał. Spotykałem tę istotę wielokrotnie po swoim wyborze przez kolegium kardynałów, ale mimo to po dziś dzień nie wiem, z czym miałem do czynienia. Niewierni wyznawcy Mahometa rozmawiali z tym dzieckiem z niebios blisko do świtu, zadając mu pytania. Była to rozmowa bluźniercza, w której siedząc w półkolu naśladowali oni rozmowy, jakie z naszym Panem Jezusem odbywać musieli Jego uczniowie. Poruszano tematy świętej teologii, nurzając się w błocie demonicznej sofistyki. Jeden z obecnych zapytał był tego potwora o to, jak oni, bogowie, stworzyli kobietę. Czy było tak, jak napisali Żydzi i w co wierzą Chrześcijanie, że kobieta powstała z ciała mężczyzny, czy też, jak napisał Mahomet, oboje zostali stworzeni równocześnie. Diabeł nim odpowiedział, zamknął wielkie czarne oczy pozbawione źrenic, jakby zbierał myśli lub jak gdyby przypominał sobie sam akt stworzenia, i gdy je otworzył w mojej głowie zrodziła się cała chmara becezeństw przekazywana mi przez

demona. Mówił o tym, że skupiamy się na rzeczach nieistotnych, że różnica między kobietami i mężczyznami jest pozorna i nie ma znaczenia. Mówił, że gdy stwarzali kobietę wyhodowali ją z najdrobniejszego fragmentu mężczyzny, z jego „siły witalnej”.

Opowieść o powstaniu kobiety z męskiego żebra pochodzi od Sumerów, starożytnego ludu, w którego języku słowo „ti” oznacza zarówno „żebro” jak i „siłę witalną”. Ta cząstka mężczyzny, z której ulepili kobietę, jest tak mała, że niedostrzegalna gołym okiem. W niej mieści się także całe źródło życiowej siły. Z takich części zbudowany jest człowiek, jak zamek z pojedynczych cegieł połączonych murarską zaprawą. Mężczyznę stworzyli zaś z „siły witalnej” innej istoty żyjącej przed nami, która nie była jeszcze człowiekiem. Stąd równość kobiety i mężczyzny i dlatego obie religie mówią prawdę o dziele stworzenia. Takie prawdy głosił swoim uczniom ten piekielny prorok. Muszę dziś wyznać przed Tobą, przed Pomazańcem Jezusa Chrystusa, że wtedy słuchałem tych słów jak urzeczony. Nie wiem, czy wynikało to z niezwykłości całej tej sytuacji, czy też z oddziaływania tej istoty. Przed nadejściem świtu przybysz pożegnał się z nami i nim wszedł w promień światła, który na powrót połączył żelazny statek z ziemią, podszedł do mnie i powiedział słowa, które po dziś dzień wprawiają mnie w osłupienie. Słowa te rozbrzmiały w mojej głowie ponownie po konklawe. Demon powiedział mi, że zostanę głową mojego Kościoła i że odwiedzi mnie wtedy ponownie, bo razem możemy dokonać rzeczy wielkich, możemy – jak się wyraził – zmienić oblicze świata. Statek odlatując wydał z siebie pomruk przypominający ryk bestii. Pan nasz i Wybawiciel dał mi wtedy wiele znaków, abym rozeznał, z czym miałem do czynienia, ale moje oczy pozostały zamknięte, jakby pokryte łuską. Po wszystkich niewierni chwycili brzegi wielkiego lustra i nieśli je po zboczu góry nad brzeg jeziora znajdującego się w miejscu zbiegu rzek Ter i jej dopływu Fraseru. Następnie zanurzyli lustro w jeziorze, spuszczać je na sznurach i pozwalając, by opadło na piaszczyste dno. Lustro odbija obraz tego, co jest nad nim, jak tafla wody, dzięki czemu nikt nad brzegiem jeziora nie odkryje saraceńskiego wynalazku. Kilka dni temu wysłałem mnichów z mojego byłego klasztoru benedyktyńskiego nad brzeg jeziora, aby znaleźli lustro, ale Maurowie musieli je zniszczyć, by nikt nie dowiedział się o ich ciemnych sprawkach. Mieszkańcy Ripoll, u których mnisi zasięgnęli języka mówili, że często nocami widywali niezwykle światła nad górą. Dowodzi to, że niewierni długo jeszcze spotykali się ze Złym.

Po tym jak Duch Boży zdecydował głosami kardynałów o moim wyborze na Namiestnika Chrystusa – gdy udałem się do alkowy, by w ciszy i skupieniu pomodlić się do naszego Pana o to, aby prowadził mnie drogą Prawdy – moją celę wypełniło niezwykle jasno światło. Zalało ono pomieszczenie tak, że nic nie mogłem dostrzec do czasu, aż się rozproszyło.

Bałem się, że oto Pan i Bóg mój daje mi widzenie, tak jak Szawłowi, w wyniku którego mogę stracić wzrok. Strach jednak szybko ustąpił, gdy światło rozproszyło się, a pojawiła się radość, że o to Chrystus postanowił nawiedzić moich bezpośrednio, jako i czynił w przypadku moich świętych poprzedników. Nim wróciła mi na powrót ostrość widzenia, zobaczyłem przez łzy postać, która wylaniała się ze światła. Padłem na kolana gotowy wyznać wszystkie swoje grzechy przed Panem lub Jego aniołem i prosić o wspieranie mnie w przewodnictwie nad Świętym Kościołem. Jednak gdy jasność zbladła okazało się, że kładę przed tą samą rachityczną istotą, którą spotkałem wiele lat wcześniej, będąc jeszcze mnichem w Ripoll. Niech Bóg wybaczy mi, dzierżawcy kluczy piotrowych, że w dzień mojego wyboru na papieża upadłem na kolana przed demonem, który za kilka dni doprowadzi do spełnienia się słów Apokalipsy i pałając wielkim gniewem, spadnie z nieba, światom jak mało ma czasu. Nim wstałem z kolan w swojej głowie usłyszałem ten sam głos, który zapamiętałem z Hiszpanii: Jam jest Alfa i Omega, Początek i Koniec, jestem Stworzycielem i Niszczycielem światów, byłem obecny podczas Waszego stwarzania i czuвам, opiekując się Wami i czekając na dzień, w którym się przebudzicie. Tylko Waszej Cesarskiej Miłości mogę wyznać, że stwożyłem się na ten widok i na te słowa w mojej głowie jak nasz Pan w Ogrójcu. Trzoda musi wierzyć, że pasterz wie dokąd ją prowadzi i że ocali swoje owce przed wszelkim niebezpieczeństwem. Jakże inaczej owce mogłyby podążać za pasterzem, gdyby wiedziały, że wiedzie je w przepaść? Ja zaś tego wieczoru posłuchałem słów demonia, który przybył do papieskiej komnaty z najgłębszych otchłani inferna. Posłuchałem, bo łatwo było mi uwierzyć, że ta istota, która nawiedziła moją alkowę, jest aniołem, a może nawet, wybac mi Panie, istotą boską. Od czasu gdy zakwitły zawiłce w Aprilis do dziś spotkałem wiele z tych stworzeń. Częstokroć odwoływałem spotkania z kardynałami, gdy demony chciały się spotkać. Kardynał Bonfilii któregoś razu napotkał mnie w Sancta Sanctorum, gdzie przed Świętym Obrazem Jezusa, nieuczynionym wszak ludzką ręką, spotykałem się z jednym z tych stworzeń. Na szczęście istota schowała się za porfirową kolumnienką i Bonfilii nie mógł jej dojrzeć, ale od tej pory już nie tylko u pospólstwa, ale w samym Lateranie zaczęły krążyć pogłoski o tym, że papież spotyka się z Szatanem lub oszalał i po wielokroć można go usłyszeć, jak mówi do siebie za drzwiami pustej komnaty. Istoty te zawsze pojawiały się w wielkim blasku, mówiły do mnie wieloma językami, pokazywały mi rzeczy, których oko ludzkie nie widziało. Tłumaczyły mi Pismo i z łatwością rozwiewały moje wątpliwości. Mówiły mi o tym, co się wydarzy i ich słowa sprawdzały się co do joty. Przybywały z nieba, Wasza Miłości, to wszystko sprawiło, że uwierzyłem, iż te diabły mówią prawdę, że to one nas stworzyły, opiekują się nami, a my jesteśmy częścią ich Wiel-

kiego Planu Zbawienia. Nakazały mi się uczyć, zdobywać wiedzę o astronomii, matematyce. Mówiły, że mają co do mnie wielkie plany. Za ich namową rozprawilem się z symonią i konkubinami moich braci kardynałów.

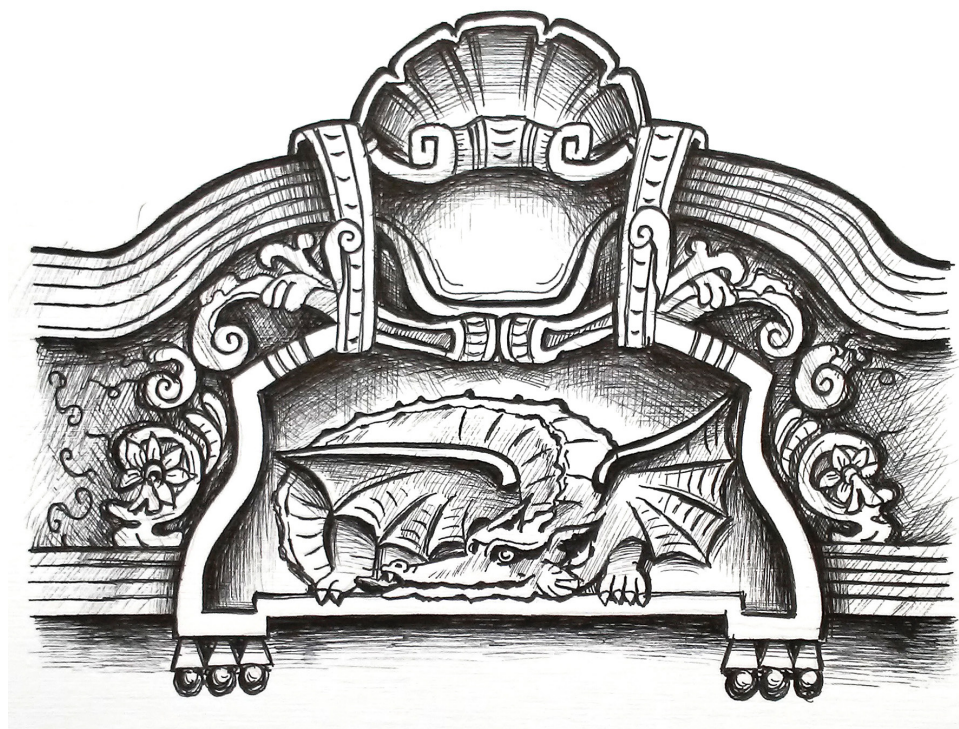
Tuż przed Świętem Narodzin Naszego Pana z Maryi Dziewicy, gdy czytałem arabskie pisma przekazane mi przez istoty z nieba, nad wezgłowiem mojego łóżka pojawiła się jedna z nich. Tym razem nie było światła, miałem wręcz wrażenie, że zasnęłam i mam widzenie, ale głos istoty był tak samo realny jak poprzednio. Ta postać przypominająca obmierzłe, nienaturalne ludzkie dziecko miała na imię Meridiana. Sam nadałem jej to imię. Gdy podczas naszego pierwszego spotkania – zaraz po mianowaniu na Namiestnika Chrystusa – zapytałem, jak mam ją nazywać, odpowiedziała, że sam mogę nadać jej ziemskie imię. Jako Bóg używała bowiem imienia, którego my nie możemy wymówić. Podobnie jak Żydzi, którzy uważają, że imię Boga jest Święte i Niewymawialne, tak też i ta istota tłumaczyła mi, że jej imię jest dla mnie niedostępne. Miało to wynikać z ułomności naszych ciał. Nazwałem ją więc Meridianą od linii, która pozwala określić położenie słońca na niebie. Wszak przybywała ona z nieba na statku, który lśnił jak słońce. Meridiana wyjaśniła mi, że zobaczę dziś coś bardzo ważnego, co muszę zapamiętać i że dotyczy to Planu Zbawienia. Przeraziłem się, że oto nastać miał Koniec Czasów, a ja miałem się ku temu przyczynić. Nim zdążyłem pojąć rozumem całość tego, co próbowała przekazać mi ta istota, zostałem pochwycony przez wielką siłę i porwany w górę aż do trzeciego nieba. W mgnieniu oka znalazłem się w pomieszczeniu tak jasnym i pozbawionym jakichkolwiek ścian, że przysiągłbym, iż jak Eliasz za życia znalazłem się przed obliczem naszego Stwórcy. Gdy mój wzrok przyzwyczaił się do jasności wyraźniej, zacząłem dostrzegać to, co mnie otacza. Ujrzałem, że o to nie w Raju, a w jednym z kręgów piekielnych się znalazłem. Wokół mnie pełno było nagich ludzi. Spoczywali w wielkich szklanych kadziach wypełnionych przezroczystym płynem, a część z nich leżała przede mną na stołach ze lśniącego metalu. Nie mogłem stwierdzić, czy śpią, czy też są to martwe ciała. Ci, którzy leżeli na stołach, mieli otwarte ciała w okolicach pachwin, tam gdzie u kobiet znajduje się łono, a u mężczyzn źródło nasienia. Wydawali się być ofiarami rzeźnika, choć wokół nie było widać krwi, a oni sami sprawiali wrażenie, jakby ta okrutna zbrodnia spotkała ich, gdy byli zupełnie pogrążeni we śnie. Były tam dziesiątki ciał, zarówno mężczyzn jak i niewiast, pacholąt i osób w sile wieku. Wszystkie z naruszonymi ciałami. Ci, którzy znajdowali się w szklanych zbiornikach, unosili się tam swobodnie, od czasu do czasu mącąc wodę albo inny płyn – w którym byli zanurzeni – bąbelkami powietrza wydobywającymi się z ust lub nosa. Spali, oczekując na swoją kolej, aż zajmie się nimi diabelski rzeźnik. Niech Święty Cesarz wyobrazi sobie moje

przerazenie na ten piekielny widok. Chciałem wydość się stamtąd, miałem wrażenie, że coś mnie obserwuje, jakieś demony czy potwory, zacząłem krzyczeć, żeby mnie wypuścili i wtedy znalazłem się ponownie w swojej alkowie, szarpiąc się na łóżku z niewidzialnym przeciwnikiem.

Byłbym przysiągł, że to wszystko przyśniło mi się przez gorączkę, która trawiła mój umysł, ale w rogu pokoju, w najciemniejszym kącie, dokąd nie dociera blask świecy, poruszała się istota o chudych kończynach i wielkiej głowie. Wpatrywała się w okno mojej alkowy, dotykając raz po raz swoimi długimi palcami głowy i piersi. Idą po mnie – usłyszałem w głowie głos Meridiana – Musisz zapamiętać, musisz pamiętać, co widziałeś i powiedz o tym innym. Zapisz moje słowa. Bogowie nie chcą waszego dobra. Tego wieczoru, ja – papież, biskup świata, byłem tak śmiertelnie przerażony, że nie mogłem wyrzec ni słowa. Ścisnąc w dłoniach róg nakrycia mojego łóżka, słuchałem głosu tej potwornej postaci, która teraz wpatrywała się wprost we mnie, a ja miałem wrażenie, że wie o mnie wszystko, że czyta w najgłębszych zakamarkach mojej duszy, że wie, jak bardzo się boję. Że ja, papież, boję się o swoje życie jak dziecko. Bogowie nie mają płci. Dlatego tak trudno wam ich rozróżnić. Są identyczni, bo mają takie samo „Ti”. Ich „siła witalna” niczym nie różni się u każdego z osobna. Każdy kolejny potomek jest dokładnie taki sam jak jego poprzednik. U twojego rodzaju poprzez połączenie kobiety i mężczyzny powstaje zupełnie nowa osoba. Każdy z was jest wyjątkowy i poprzez wymieszanie cech ojca i matki staje się niepowtarzalny. W całej historii świata nie pojawia się osoby o dwóch takich samych „Ti”. To umożliwia wam przetrwanie, podczas gdy mój rodzaj degeneruje się i wymiera. Nie jesteśmy zdolni do przystosowania się do zmian, a odkąd zniszczyliśmy swój świat przez nadmierne używanie dóbr, musimy wędrować w poszukiwaniu światów nadających się do zamieszkania. Z powodu niemożności adaptacji nie możemy znaleźć nowego domu, bo żaden nie będzie taki sam jak ten, z którego wyruszyliśmy. Dlatego stworzyliśmy was, tak jak stworzyliśmy wielu przed wami. Zapamiętałem każde słowo, które ta istota posiała w mojej głowie. Mam zresztą wrażenie, że nie musiałem tego zapamiętywać, ale że tak właśnie było, że ona zasiała to we mnie. Wypaliła te słowa w mojej głowie jak kowal wypala znak właściciela na skórze konia. Stworzyliśmy was na swoje podobieństwo, ale jako mężczyznę i niewiastę, aby rozwikłać zagadkę rozmnażania płciowego i aby płodzić z wami potomstwo zdolne do życia, do zmienności i do przystosowania. W przeszłości wielokrotnie próbowaliśmy sprawić, abyście rodzili nam boskich potomków. Tak powstawały hybrydy, nefilim, giganci, herosi, półbogowie. Herakles – będący synem boga Zeusa, jednego z nas i ziemskiej kobiety Alkmeny – Jezus, którego Maryja, kobieta z waszego rodzaju urodziła Jahwe, jednemu z naszych. Zawsze były to jednak próby ukończone

Iwona Mazur

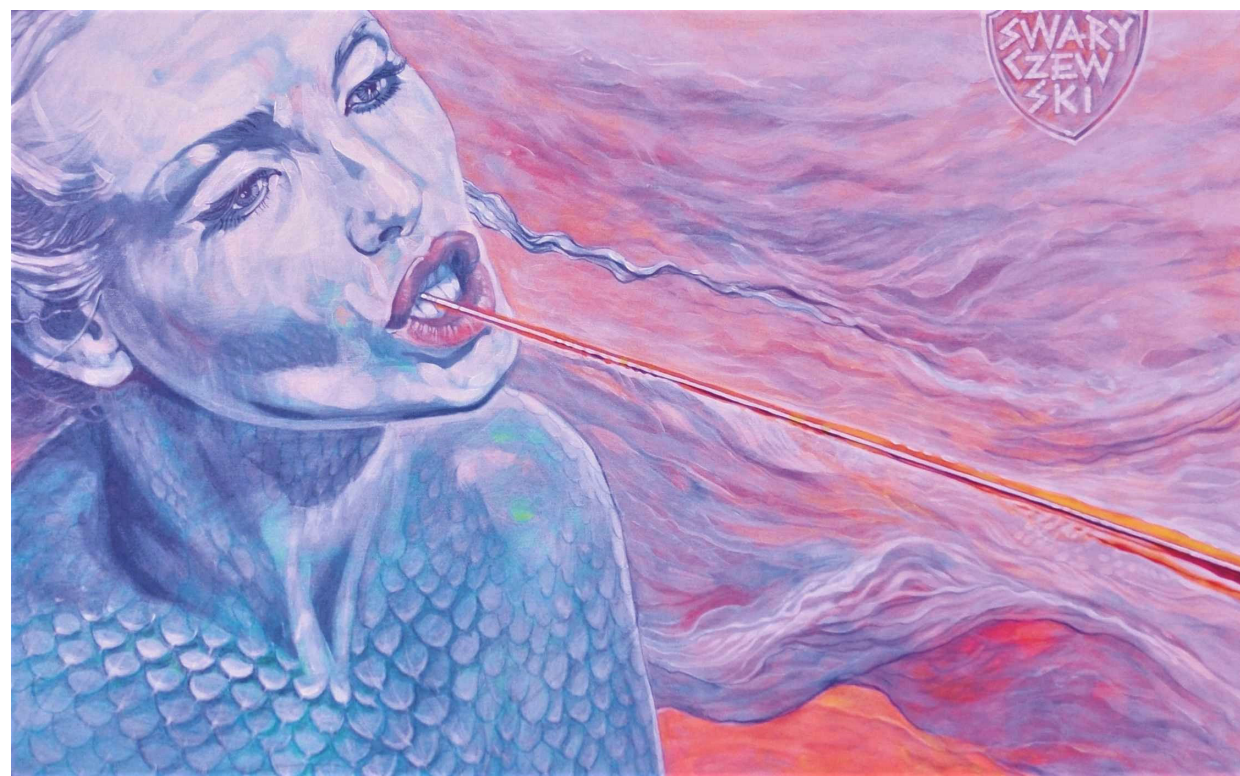
Ambasadorka miasta w kampanii „GORZÓW #Stąd Jestem”, artystka malarka. W swoich pracach stawia na różnorodność: Projektuje bogato zdobione nakrycia głowy, biżuterię, artystyczne ubrania; Prowadzi warsztaty malarskie dla dzieci i dorosłych, przeważnie z malarstwa witrażowego; Zilustrowała tomiki wierszy Beaty Patrycji Klary – „Witraże” (2004) i „Imaginacje” (2005); Zaprojektowała datownik okolicznościowy oraz widokówki dla Poczty Polskiej (2009). W swoich pracach od lat promuje Gorzów, gdyż, jak sama mówi: „Piękno naszego miasta jest często niezauważone i niedocenione, dlatego warto je pokazywać”. Autorka licznych wystaw, na których prezentuje elementy gorzowskiej architektury, w tym: witraże oraz secesyjne zdobienia starych kamienic przedstawiające m.in. smoki. Swoje prace publikuje na Facebooku.



Krzysztof Swaryczewski

Urodzony w Dreźnie, rocznik '62. Studiował w PWSSP w Poznaniu, gdzie ukończył kierunki: wychowanie plastyczne oraz grafikę warsztatową. Od 23 lat uczy rysunku i malarstwa w Liceum Plastycznym w Gorzowie Wlkp. Przez 7 lat prowadził „Galerię Zieloną” w Strzelcach Krajeńskich. Obecnie mieszka w Gorzowie, gdzie prezentuje swoje dzieła na wystawach autorskich

i zbiorowych. W malarstwie sztalugowym interesuje go głównie człowiek. Stara się opowiadać o tym, co go spotyka oraz komentować współczesny świat. Historie, które przedstawia, zatopione są jednak w świecie fantazji. Malarstwo figuratywne pozwala mu na bezpośredni kontakt z odbiorcą. W swojej twórczości pochyla się nad kondycją człowieka i jego otoczenia.





niepowodzeniem, bo nasi wspólni potomkowie byli bezpłodni. Nie mogli mieć dzieci, tak jak muł, owoc spółkowania konia z osłem. Nie mogli więc zapewnić nam przetrwania na nowej planecie. To, co widziałeś, te experimentum, ci ludzie z przeciętymi brzuchami, to próby wyhodowania rodzaju ludzkiego zdolnego do rozmnażania z bogami. Takie sale pełne ciał znajdują się na każdym statku, którym podróżujemy, a są ich setki tysięcy. Poświęciliśmy wszystko idei naszego przetrwania. Plan Zbawienia dotyczy nas, a nie was, bogów, nie ludzi. Gdy któryś z waszych dowiadywał się o boskim planie i próbował mówić o tym innym, bogowie ściągały na was zagładę. Od Potopu przez zniszczenie Sodomy i Gomory, do Końca Świata, który nadchodzi. Musisz uświadomić ludzi, ale tak by Oni się nie dowiedzieli, inaczej zesłą na was zagładę. Musisz wykazać się mądrością. Niejednokrotnie niszczyli Oni całe światy. Bogowie potrafią zgładzić życie, które zasiali. Z potopu uratował się rodzaj ludzki, ale istoty podobne do was, które żyły na czerwonej planecie, dziś nie istnieją. Bogowie dają i odbierają życie. Zbliżają się. Wtedy całą salę wypełniło ostre światło. Ukarzą mnie za to ,co zrobiłem, jak wielu przede mną, ale ty musisz pamiętać. Zapamiętaj moje słowa. Zapisz je. Zapieczętu. Musicie zbuntować się przeciwko bogom. Zakryłem swoją twarz dłońmi, do czasu aż promienie światła nie zgasły. Gdy odsłoniłem twarz, Meridiany już nie było, a w mojej alkwie pojawiły się teraz dwie istoty, dwa demony, bardzo podobne do niej. Oстрыm tonem głosu w mojej głowie chciały, abym powiedział im, co przekazała mi istota, która odwiedziła mnie przed nimi. Wiedziałem już jednak, z czym mam do czynienia, chwyciłem więc Krucyfiks z wizerunkiem naszego Pana i chroniąc się przed ich szatańskimi zakusami, kazałem wynosić się precz w imię Jezusa. Te diabły próbowały przekonywać mnie, że przecież spotykałem się z nimi wielokrotnie i wiem, skąd przybywają, że są naszymi stwórcami i chcą naszego dobra, ale piekielne obrazy, których byłem świadkiem, nie pozwoliły mi dać ponownie posłuchu ich kłamstwom. Gdy odmawiałem Modlitwę Pańską, one deliberowały na próżno, że nadszedł już czas, że przez długi czas przygotowywały mnie na to, abym przekazał wszystkim wierzącym prawdę o tym, że są naszymi bogami, że stworzyli nas i opiekują się nami. Że tylko ja mogę tego dokonać. Zmienić oblicze chrześcijaństwa. Oblicze całego świata. Chciały rozbudzić we mnie pychę wmawiając,

że będę największym z papieży, tym, który otworzy oczy całej ludzkości. Tym razem nie dałem się jednak zwieść. Bezustannie modliłem się na kolanach do naszego Jedynego Pana i Wybawiciela, aż pot zaczął cieć mi po plecach wartkimi strugami. Wmawiały mi bez ustanku, te potwory, że Meridiana jest kłamcą, oszczercą i oskarżycielem jak Szatan-diabeł, a dawniej Lucyfer, jeden z bogów. Że wszystko, o czym mówiła to bлага, że cokolwiek mi pokazywała to zwodzenie i senne mary, jakie zesłała. Gdy i to nie skutkowało, zaczęły grozić mi, że jeśli uwierzę w kłamstwa Meridiany, jeśli będę mówił to innym, zgładzą nas wszystkich. Uwolnią smoka zamkniętego w podziemiach papieskiego pałacu i zapiszę się w historii jako ostatni papież, winien śmierci całej ludzkości. Zamknąłem oczy, by poddać się kierownictwu Naszego Pana i gdy je otworzyłem w mojej celi pełno było tych potworów. Przekrzykiwały się w mojej głowie, chcąc mnie zastraszyć, zmusić do poddaństwa, męczyły mnie okrutnie. Trwało to niemalże do świtania, gdy umęczony zemdlałem i upadłem na kamienną posadzkę alkwy, raniąc głowę.

Nad ranem znaleźli mnie bracia kardynałowie. Nikomu nie rzekłem ani słowa na temat moich zmagañ z siłami Złego. Ty Panie jesteś jedyną osobą, z którą ośmieliłem się podzielić w tym liście moimi przeżyciami. Jeszcze raz zaklinam się na Świętą Krew Naszego Pana, że wszystko, co tutaj opisałem widziałem własnymi oczyma i było to tak prawdziwe jak pióro i kałamarz, które mam przed sobą. Zwracam się do Waszej Cesarskiej Miłości, jako do swojego protektora i opiekuna, z prośbą, aby w związku ze zbliżającym się końcem tysiąclecia zabezpieczyć pałac w Lateranie cesarską strażą. Nic nie może się wydostać z pałacowych podziemi. Być może walka, którą przyjdzie nam stoczyć u progu nowego milenium, będzie walką Armageddonu. Z całego serca proszę Najjaśniejszego Cesarza o pomoc w tej walce.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Spisany w Rzymie w ostatnią niedzielę Roku Pańskiego 999.

Mariusz Sobkowiak – rocznik '89, Redaktor naczelny i pomysłodawca „LandsbergONu”, pracownik socjalny, wykładowca, lokalny społecznik. Autor publikacji naukowych. Na co dzień pracuje w organizacji pozarządowej jako specjalista ds. rachunkowości. W wolnych chwilach czyta książki. Zakochany w Gorzowie i jego historii.

„Przypadek Alicji K.”

Unosisz się w bezmiarze. Prawdopodobnie, bo po prostu nie masz żadnego punktu odniesienia. Nie widzisz. Wiesz, że jesteś. Nie pamiętasz kim, ale z całą pewnością *jesteś*. Zaczynasz czuć. Nie odczuwasz czegoś, zaczynasz *czuć*. Zauważasz, że do tej pory to uczucie było nieobecne. Coraz bardziej zdajesz sobie sprawę z własnego kształtu. Powoli zaczynasz dostrzegać niewyraźne, rozmyte kontury. Patrzysz na rękę – *twoją* rękę. Poruszasz palcami, jakby doceniając obecność każdego z nich. Przykładasz dłoń do twarzy. Czujesz swoje rysy. Są gładkie i przyjemne w dotyku. Trzesz oczy, jakby miało to pomóc rozwiązać niejasną mgłę dookoła. To mgła czy to twój wzrok wciąż zawodzi? Oprócz siebie nie dostrzegasz niczego innego. Przesuwasz dłoń niżej. Zaczynasz sobie zdawać sprawę z coraz większej ilości faktów. Ze swojego wzrostu i wagi. Ze swojej płci. Z procesów zachodzących w twoim ciele. Z tego, że nie masz czym oddychać. Budzisz się.

Dziewczyna o ciemnorudych włosach otworzyła oczy, łapiąc nerwowo oddech jak nigdy wcześniej. *Ten sen* – pomyślała. *Co to, do cholery, było?* Przez pierwsze kilka minut próbowała pozbierać myśli, ale wreszcie wstała z łóżka. Była w swoim pokoju, to pewne. Szafa, z której wyciągnęła ciemną koszulę z dopinanymi rękawami i spodnie, szuflady, biblioteczka, kolekcja płyt, plakat Slayera na ścianie. Wszystko na swoim miejscu. Położyła ubrania na łóżku i skoczyła po jakąś kanapkę. Obok lodówki wisiał kalendarz na rok 2017. *To był tylko sen. To był tylko sen* – powtarzała sobie, starając się zagłuszyć wciąż świeże wspomnienia nocy kolejnymi gryzami pieczywa. Echo snu nie traściło jednak ostrości, wciąż nie minęło zbyt wiele czasu. I tylko przyjemnie lechcąca podniebienie kajzerka przypominała o przekroczeniu granicy i znalezieniu się w świecie materialnym. Wreszcie dziewczyna skierowała się do łazienki, by przygotować się na nadchodzący dzień. *To było uczucie jakbym...* Powstawała – starała się wyjaśnić sobie w myślach. *Ale to bez sensu. Jednak to wrażenie, jakby każda część mojego ciała dopiero co wyrastała, to jak flashback z życia płodowego, ale z zachowaniem pełnej świadomości...* *Nigdy nie miałam tak zrytego snu. Jak dotrę do szkoły, opowiem o tym Grzance i zapytam, co o tym sądzi.*

Ubrała czarny t-shirt metalowego zespołu i doczepiane rękawy. Do wyjścia wciąż pozostawało kilkadziesiąt minut. Podążając za skojarzeniem uznała, że dobrym pomysłem będzie przypomnienie sobie wydarzeń z dzieciństwa, najlepiej na przykładzie starego albumu. Zajrzała do dużego pokoju, w którym jej mama oglądała już telewizję. Była tak wpatrzona w ekran, że reakcja na przyjście córki była ledwo zauważalna. Dopiero po chwili ją przywitała.

– Dzień dobry, Alicjo. Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

– Cześć, powiedzmy. Słuchaj, pamiętasz może, gdzie jest mój album ze zdjęciami z dzieciństwa?

– Wzięłaś go do siebie, na pewno. Szukałaś czegoś.

Alicja wróciła do pokoju i zaczęła szperać w biblioteczce. Były tam głównie książki fabularne, Orwell, Kafka, Dostojewski, Gaiman, Martin... Parę zeszytów, ten gorzowski zbiór opowiadań *LandsbergOn...* Album na zdjęcia wyróżniał się innym formatem. Miał kwiecisty wzór na okładce, typowo. Wyjęła go i otworzyła. Widok małej siebie, tak beztroskiej i niewinnej, był na swój sposób poruszający. Rzuciła tęskne, przepęlnione nostalgią spojrzenie sobie zdmuchującej trzy urodzinowe świeczki, sobie bawiącej się Lego, sobie puszczającej bańki mydlane, sobie kopiącej piłkę. Poczula dysonans między sobą teraz a sobą kiedyś. *Jak bardzo może zmienić się człowiek...* *Miałam w sobie tyle energii i motywacji. I radości, chęci życia. Gdzie się to wszystko podziało?* Jedno tylko pozostawało podobne. Izolowała się. Miała własne światy, ciekawsze od światów rówieśników. *Skoro miałam dzieciństwo i mam wspomnienia, muszę być prawdziwa. Nie zostałam stworzona. Jestem człowiekiem z krwi i kości.* Otworzyła szerzej oczy, nie dowierzając, że wciąż próbuje sobie udowodnić rzecz zupełnie oczywistą, w którą nie zwątpiła ani razu przez dziewiętnaście lat swojego życia.

Zostawiając za sobą drzwi z napisem „Kruszewscy”, Alicja spojrzała na miasto. Wcześniej nie zwracała dużej uwagi na fakt mieszkania w nim, było to oczywistością. Ale teraz, po tym dziwnym śnie, zastanawiała się, jak fakt bycia obywatelką – czy to Zygmuntonu, czy Polski – wpływa na jej realność. Czy numer PESEL, który miała nadany przy narodzinach; dowód osobisty, który odebrała z małym opóźnieniem w ubiegłym roku; paszport, który był potrzebny podczas podróży zagranicznych, kiedy jeszcze była mała, zanim Polska weszła do Unii... Czy te wszystkie rzeczy sprawiają, że jest prawdziwa? Ona, Alicja Kruszevska, PESEL 980219... coś tam dalej, z obywatelstwem polskim, urodzona w Zygmuntonie – czy jest dzięki temu prawdziwa? Czy numery i litery determinują czyjąś realność, stanowią dowód tego, że kiedykolwiek pojawił się na tym świecie?

Na dachu kiosku przysiadł gołąb, rozglądając się w ten swój specyficzny sposób. Alicja miała wrażenie, jakby to ją obserwował, ale to była oczywista paranoja.

– Poproszę Tymbarka i gumę do żucia – rzuciła do sprzedawczynie. Gumę schowała do kieszeni na później, a butelkę otworzyła. Wzięła kilka łyków i dopiero wtedy spojrzała na wnętrze kapsla. Zawsze

jest na nich inny napis. Tym razem było tam nadrukowane: „SKĄD WIESZ, ŻE ISTNIEJESZ?”. To zdanie poraziło ją i byłaby się zachłysnęła. Wpatrywała się oniemiała w ten kapsel przez kilkanaście sekund. *Skąd wiem... skąd wiem, że istnieje...?* – powtórzyła w myślach. Wkrótce ruszyła dalej w stronę szkoły. Nie miała daleko, a droga była dość strona.

Jak dobrze, że była Grzanka. To oczywiście pseudonim, naprawdę nazywała się Anna Miller i była najlepszą przyjaciółką Alicji. Od czasów zerówki, kiedy wylała na nią żupę, bo przypadkiem podniosła talerz razem z łyżką. To i tak jedna z normalniejszych rzeczy w jej wykonaniu. Teraz, w liceum, zawsze przed zajęciami czekała na Alę i z nieludzkim wręcz entuzjazmem opowiadała o... w zasadzie czymkolwiek. A Grzanka wzięła się stąd, że na wycieczce do zoo w podstawówce próbowała karmić grzankami goryle, co świetnie rymowało się z jej imieniem. Wiecznie zadwołone jasnowłose dziewczę wyznające dobro, prawdę i piękno.

Nie po to poszłam na biol-chem, żeby uczyć się filozofii – pomyślała, siedząc w ostatniej ławce z Grzanką i słuchając nauczyciela.

– Solipsyzm. Z łaciny *solus ipse*, „ja sam”. Pogląd filozoficzny głoszący, że istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający. Cała zaś rzeczywistość jest jedynie zbiorem jego subiektywnych wrażeń – to zdanie sprawiło, że nagle Alicja zaczęła słuchać uważniej. – Wszystkie obiekty, wszyscy ludzie, których doświadczają jednostka, są tylko częściami jej umysłu.

– Fazka, nie? – szepnęła do Ali entuzjastycznie Grzanka.

– Za twórcę uważa się sofistę Gorgiasza – kontynuował prowadzący – który w swoim manifestie antycznego nihilizmu „O naturze albo o niebycie” utrzymywał, że po pierwsze: nic nie istnieje. Po drugie: nawet jeśli coś by istniało, nikt nie mógłby o tym wiedzieć. Po trzecie: nawet jeśli ktoś by o tym wiedział, nie mógłby tego nikomu zakomunikować.

– Serio się interesujesz filozofią? – Alicja spytała Grzankę, kiedy siedziały na przerwie.

– Staram się do wszystkiego podchodzić z entuzjazmem. Łatwiej wtedy wchodzi do głowy.

– A zastanawiałaś się kiedyś, po czym poznać, że się istnieje...?

– To się chyba czuje, no nie? Zmysłami.

No dobra, po pierwsze, test Bechdel zdany: kobiety mogą rozmawiać ze sobą o czymś innym niż o facetach. Po drugie - ma rację. Zmysły to to, czym mogą dowieść, że istnieje. Genialne w swej prostocie.

Kiedy Alicja siedziała tak zamyślona, podszedł do niej chłopak z klasy. *Jak on miał... Zaraz sobie przypomnę.* Łatwo było go przeoczyć, bo nie był jakiś szczególnie interesujący. Nosił okulary i miał długi nos.

– Hej, Grzanka. Wbijasz dzisiaj na melo? Weź Alę. Zamówimy pizzę.

Jakby w ogóle mnie tu nie było. Tym razem to ja zostałam olana – spostrzegła w myślach Alicja. *Ale czy*

na pewno...? Nie, to bardziej zawstydzenie z jego strony, niepewność. Swobodniej mu rozmawiać z Grzanką.

– Hmm, no nie wiem – odparła Grzanka.

– No słuchaj, to jest całkiem niezły pomysł. Chętnie wpadniemy – odpowiedziała Alicja za Grzankę, obejmując ją ku jej zdziwieniu wynikającemu z tej niespodziewanej zamiany ról.

– No to jesteście ugadani, słuchaj – odpowiedział, a Alicja wciąż starała się przypomnieć sobie jego imię. – O siedemnastej u mnie, alko we własnym zakresie. Nara.

Impreza to dobra okazja do przetestowania, czy poprzez zmysłowe doznania można poczuć, że się istnieje. Jak tak nad tym myślę, to mam wrażenie, że to dość częsta praktyka... Aa, to był Marcin.

Kilka godzin później Ala wybrała się na tę domówkę. Skromna bo skromna, oprócz niej byli na niej tylko Grzanka, gospodarz Marcin i jego kumpel. Ten Paweł, który chodził do równoległej klasy, a nie korzystał z Facebooka, więc tak się zdarzyło, że nie poznali jego nazwiska, więc zawsze był „Tym Pawłem”. Zjedli pizzę i zaczęli grać w pokera na żetony, choć szybko gra przestała się kleić, kiedy wszyscy oprócz Ali zaczęli żartować. „Sprawdzam!” „Makao!” „Aktywowałeś moją kartę pułapkę!”

– Idę się odlać, bo nie mogę na to patrzeć – oznajmiła, kierując się w stronę drzwi, na co osoby, które wylały nawiązanie, krótko się zaśmiały. Zawiodła się nieco, bo nie mogła odczuć żadnej przyjemności z czynności, które lubiła, choć było tak na długo przed tym snem. Była zła na siebie, że nic nie czuje. Ale nie miała siły się na to komukolwiek skarżyć. Nie chciała też zostać uznana za słabą.

– Dobra, Ala widać nie bardzo w nastroju ani na karty, ani na żarty. Pogadajmy o czymś poważnym – zaproponował Marcin. – Co się ostatnio ważnego wydarzyło na świecie?

– Twórca „Krainy Grzybów” się ujawnił, łącznie z całą obsadą – doniósł Paweł, nawiązując do popularnej w poprzednich latach serii psychodelicznych filmów, które okazały się akademickim eksperymentem na temat internetowych memów i wirali. – To bardzo ważne.

– Ale, że tak bez beki?! – wykrzyknęła Grzanka. – A jeśli to tylko kolejny element gry z widzem i tak naprawdę twórcy są wykreowani przez kogoś innego i to będzie cały czas stawać się coraz bardziej meta?

A jeśli tak się okaże z moim życiem? – dokończyła w myślach Ala, wychodząc z pokoju.

Siedząc na toalecie i niespiesznie oddając się mikcji, podsumowała, co wie. *Od rana dostaję niezbyt subtelne wskazówki co do mojego nieistnienia. Czy też raczej istnienia jedynie jako idea. Koncept. W jaki sposób jest to możliwe? Na filozofii nam mówiono... Solipsyzm... „Istnieje tylko jednostkowy podmiot poznający”... Nie, to niemożliwe... „Cała rzeczywistość jest jedynie zbiorem jego subiektywnych wrażeń”, łącznie z obiektami i osobami, które są tylko częściami jej*

umysłu. Jeśli to nie ja jestem jednostkowym podmiotem poznającym... To oznacza, że... Jestem obserwowana przez całe moje życie non stop... Poczła nagle niesamowite skrępowanie i spojrzała w górę. W niewytłumaczalnej paranoi zawsze się obawiała, że ktoś będzie widział jej najbardziej intymne momenty. Bała się bycia obserwowaną i nienawidziła, kiedy ludzie się gapili. Założyła spodnie i poszła umyć ręce, bardzo sztywno, czując jak gdyby faktycznie ktoś na nią patrzył. Poczła jak serce zaczyna jej mocniej bić.

Wróciła do towarzystwa, ale z czasem coraz bardziej czuła, że nie może tu dłużej siedzieć. Piła drugie piwo. Słyszała, jak Paweł opowiada jakąś historijkę i powiedziała coś, czego prędko żałowała, bo wskazywało na to, że opowieść była nudna – bo w zasadzie była, ale normalnie nie mówimy tego komuś, żeby mu się nie zrobiło przykro. Nie. Nawet jeśli nie istnieją i też są wytworami czyjeś wyobraźni, nie mogą się na nich wyżywać. Czy ta rzeczywistość jest prawdziwa, czy nie, przyjaźń między nami jest prawdziwa, wiem to. Ale nie chcę teraz się z nimi widzieć. Chcę do domu.

– Ech, przepraszam – wypaliła w końcu. – Po prostu chyba mam już dosyć. Pójdę do siebie. Późno.

– Odprowadzić cię? – zaproponował Marcin. *Totalnie na mnie leci, jestem to w stanie wychwytać z subtelnych sygnałów wysyłanych przez ciało i głos. Zawiodłby się. No i nie interesuje mnie. W żaden sposób. Jest bardziej pijany ode mnie. Ryzyko, że spróbuje ze mną czegoś głupiego, jest zbyt duże.*

– Nie, dziękuję. Do zobaczenia.

Jeszcze nigdy wieczorny rytuał zmycia z siebie brudów dnia nie był tak przytłaczający. Wzięła płyn micelarny i olejek do demakijażu. Korzystając z nich, zastanawiała się nad konsekwencjami swoich wniosków. *Pamiętam taki obraz: „Upadek ludzi” autorstwa XVI-wiecznego niemieckiego artysty Lucasa Cranacha. Przedstawia on Adama i Ewę, którzy zwiędzeni przez Szatana skosztowali owocu z Drzewa Poznania Dobra i Zła. Poznali rzeczy, które wcześniej były im obce. Jak poczucie winy. Wstyd. Grzech (swoją drogą, zgodnie z wizją Milтона w „Raju utraconym”, był inteligentny, córka samego Szatana). Pierwsi ludzie spostrzegli, że są nadszy i zdali sobie sprawę, że Jahwe obserwuje ich przez cały czas. Zostali wygnani z Edenu i nie było dla nich drogi odwrotu, bo gdy raz się pozna prawdę, stan rzeczy nigdy nie wróci do wcześniejszego. To zresztą potwierdza druga zasada termodynamiki. Prawda zwiększa więc entropię. A ta nie może zmaleć w tym układzie. Dokładnie tak się teraz czuję. Zaczęła się powoli rozbierać. Było to wyjątkowo stresujące, jakby faktycznie ktoś był obok. Nawet mniejsza o złe uczynki. Chodzi mi o to, że to cholernie frustrujące dopuścić do siebie myśl, że mógłby istnieć ktoś, kto widzi każdą czynność, jaką wykonujesz. To nie fair dzielić swoją intymność z kimś, kogo nigdy nawet nie zobaczysz. Czuję się jak w jakimś, nie wiem, „Big Brotherze” albo nawet „Roku 1984”. Nie chcę sobie wyobrażać, że już zawsze będę się tak czuć. Najtrudniej było z bielizną. Najbar-*

ziej przytłaczająca jest jednak myśl, że tych osób obserwujących może być znacznie więcej. W końcu kiedy coś wymyślamy, nie musimy robić tego samodzielnie, prawda? Można wymyślić coś razem... Czy jednak wtedy taka idea będzie istniała wspólnie w umysłach tych osób czy raczej w każdej niezależnie od siebie nawzajem? Już naga, weszła do wanny i skuliła się. Nie, to nieprawda... Wmawiam to sobie, to wszystko mi się wydawało, na bank... Wmawiam to sobie. Nikt mnie nie widzi...

Śni ci się kosmos. W oddali widzisz majaczące sylwetki dwóch postaci. Jedną z nich jest ubrany na biało starzec. Druga to trudne do opisanego słowami pokaźne monstrum o wijących się kształtach, z mackami zwisającymi z czegoś, co mogło być twarzą. Żadne z nich jednakże nie sprawia wrażenia wrogiego, choć bije od nich wszechogarniająca potęga. Powoli zaczynasz sobie zdawać sprawę, że to sen, ale ku swojemu zdziwieniu, nie budzisz się. Zachowujesz świadomość. Co równie dziwne, przez moment nie czujesz niepokoju ani przerażenia, ale to takie sztuczne wrażenie jak po lekach.

– To sen, prawda? Kim jesteście?

– Możesz określać mnie Magiem – odezwał się starzec spokojnym, niskim głosem. Swoją aparycją rzeczywiście przypominał stereotypowego czarodzieja. Może również stąd myśl, że uspokojenie przyszło z jego strony. Czy był człowiekiem? Trudno określić. Kontynuował:

– W poszukiwaniu wiedzy przemierzałem światy, których na obecnym poziomie rozumienia nie mogłabyś pojąć. Poznałem światło i ciemność w skali kosmicznej. Mój pradawny towarzysz zaś, obecnie spoczywając w głębi Jeziora Bestii, specjalizuje się w eksploracji przestrzeni sennej, gdzie jak słusznie zauważałaś, obecnie się znajdujemy. Nie są ważne nasze prawdziwe imiona. Zrozum, że jesteście tak samo realni, jak ty. Wiem, że trudno ci zaakceptować fakt, że twoje życie nie było prawdziwe. To musi boleć, przepraszam. Ale poradzenie sobie z prawdą może przynieść ci siłę i pewność, jakich nigdy nie miałaś.

– Z całym szacunkiem, ale nie wierzę w to. To jest sen, a jutro się obudzę i będę w prawdziwym świecie z prawdziwymi ludźmi.

– A jesteś w stanie powiedzieć, co jadłaś wczoraj na obiad? Albo co oglądałaś w telewizji? Przykro mi, ale nie wiesz tego. Bo nie były to szczególności, które były istotne.

Zdajesz sobie sprawę, że staruszek ma rację. Nie masz pojęcia. Czujesz się dziwnie.

– Zawsze możesz uznać, że to był tylko sen i spróbować zapomnieć. Ale zaufaj mi i pozwól pokazać rzeczy, które wychodzą poza granice poznania i nie mam na myśli stolicy Wielkopolski.

Widzisz ulicę i tablicę z przekreślonym napisem Poznań. Staruszek ma poczucie humoru.

– Mówiłeś, że wyjście poza granice poznania miało być tylko metaforyczne.

– Wybacz, ten żart nigdy się nie starzeje. Ale przygotuj się. Zobaczysz rzeczy w sposób, w jaki nie widział ich nikt nigdy przed tobą. Wyjrzyś poza Czwartą Ścianę.

Podnosi rękę. W tym samym momencie oślepia cię niezwykle jasny blask. Po chwili powoli otwierasz oczy, ale kiedy to się dzieje, widzisz zupełnie inny świat, w innych... barwach... w innych wymiarach... Przed sobą jednak, przede wszystkim, widzisz rozmytą, przyciemnioną postać... Wygląda jak człowiek, choć sprawia wrażenie tytana z twojej perspektywy... Operuje na innych płaszczyznach... Siedzi nieruchomo, niepokojąco... Porusza prędko gałkami ocznymi... Z niepokojem zdajesz sobie sprawę, że CZYTA cię. Każdy skrawek twojego jeststwa jest CZYTANY przez kogoś, kogo z trudem pojmujesz swoimi ograniczonymi zmysłami. Krzyczysz z przerażenia. Ze wstydu. Z bólu. Bo czujesz, jak myśli tej osoby formują twój los.

Jak ktokolwiek miałby mi w to uwierzyć? – Alicja zastanawiała się po przebudzeniu. Kiedy poszła do szkoły, tradycyjnie zaczęła rozmawiać z Grzanką.

– Grzaneczko, powiedz ty mi... Wiesz, co to jest Czwarta Ściana?

– To symboliczna granica między widzami a aktorami w teatrze, choć mówi się też o tym w odniesieniu do wszelakich postaci fikcyjnych. Ale nazwa wzięła się z teatru. A czemu?

– A gdybym powiedziała ci, że... wyrażałam poza nią?

– Zaczęłaś chodzić do teatru? – odpowiedziała Grzanka z dozą niepewności, jakby ta forma rozrywki zupełnie nie pasowała do Alicji.

– Nie rozumiesz, mówię o Czwartej Ścianie... tego świata.

– Co? Nie łapię, wybacz. Nie mów tylko, że zaczęłaś brać narkotyki – przeraziła się Grzanka. – O, nie! To dlatego ostatnio masz takie odpaly!

Nie wierzy mi... Nie może nawet zrozumieć... nie winię jej. Zresztą ciężko mi to wytłumaczyć. Nie mogę o tym nikomu mówić.

– Nie, to nie tak! – zaprzeczyła Alicja. – Uch, przepraszam za wczoraj. Potrzebuję chyba małej przerwy od ludzi. Dziwnie się czuję.

– Cóż, wiedz, że zawsze masz we mnie przyjaciółkę. Ale jak poczujeś się gorzej, to może powinnaś pójść do lekarza czy coś.

– Obawiam się, że tym razem żaden by mi nie uwierzył... Albo by uznał, że naprawdę mi odbija. Ale doceniam twoją pomoc. Dziękuję, że jesteś – wyznała i przytuliła Grzankę czule.

– Och – zdziwiła się. – Nierzęsto pozwalasz sobie na takie wyznania. Ja również cieszę się, że jesteś – odwzajemniła uścisk i ucałowała ją w czoło. – Dla ciebie zawsze jestem – zapewniła ją, po czym chcąc rozładować patos, zmieniła nieco ton na bardziej żartobliwy. – Choć nie zawsze było z tobą łatwo. Jak na przykład wtedy, kiedy siedzieliśmy z siostrą i zapyta-

łam cię o coś zabawnego i rodzinnego do oglądania, a ty wyjechałaś z Pasolinim i Spasojevicem? Przez tydzień musiałam ją zapewniać, że to tylko fikcja, ale do dzisiaj ma traumę. Albo kiedy przestałaś odpowiadać na wiadomości, a potem się tłumaczyłaś, że musisz odpuścić od tego świata? Albo jak na wycieczce do Gorzowa po nocach słuchałaś na maksa w słuchawkach Burzum, kiedy inni próbowali zasnąć? O, albo jak w Londynie wychowawcy nie wiedzieli, gdzie cię szukać, a okazało się, że zawieruszyłaś się w sklepie z płytami?

Grzanka wymieniała i wymieniała, ale Alicja z czasem po prostu przytuliła się mocniej nie wiedząc, czy chce jej się bardziej śmiać, czy płakać. W końcu ją puściła, okazując jakiś cień uśmiechu. Jednak w duchu wciąż daleko jej było do szczęścia. To, za Orwellem, warunkowane jest faktem istnienia.

W nocy znów śnię. Po ostatnim szoku jestem w stanie podejść do sprawy spokojniej i utrzymać większą stabilność i ostrość snu. Rozmawiam ze starcem, który wyjaśnia mi, czym jestem.

– Jesteś bohaterką opowiadania. Twoje ciało składa się z przymiotników i epitetów, a twój charakter to suma liter składających się na twoje wypowiedzi.

– Ale jak to możliwe? Moje ciało składa się z komórek, mięśni, krwi i innych takich...

– Nie na obecnym poziomie postrzegania – powiedział i ku swojemu przerażeniu Alicja spostrzegła, że jej ręka zaczyna się rozpadać na drobne części... Choć nie poczuła bólu. – Twoje ciało to także zbiór kolorów ułożonych w piksele, których liczba jest zależna od perspektywy, z której cię widać. Gdy patrzysz spoza Czwartej Ściany, masz tylko dwa wymiary. Niewielu mieszkańców tego świata to wie. Tylko ci najpotężniejsi: samoświadomi i bogowie. Z tą wiedzą będziesz w stanie dowolnie kreować rzeczywistość. To wielka odpowiedzialność.

– Ale... Dlaczego ja...? – Alicja zawahała się, bo zupełnie nie widziała się w roli kogoś wybranego. Pewnie, czytała różne historie i utożsamiała się z bohaterami bądź bohaterkami, ale to były tylko fantazje. W zasadzie... To wciąż jest fantazja. Tylko nie jej. Ręka Alicji wróciła do normalności i w zasadzie nawet nie bolała.

– Miałas do tego predyspozycje. Zaczynałaś nabierać samoświadomości już w momencie kreacji, co nie dzieje się zbyt często. To właściwie przypadek. Jesteś potrzebna, by twój świat mógł przetrwać. Grozi mu katastrofa o zbyt skomplikowanej naturze, by ją ci teraz wyjaśnić. Ale będziesz mogła jej zapobiec... Jeśli weźmiesz na barki tę odpowiedzialność i zdecydujesz się opanować swoją samoświadomość pod naszą opieką.

Pamiętam! Składałam się wówczas jedynie z dwóch kolorów i nie miałam indywidualnych cech! Dlatego nie pamiętam życia płodowego, a jedynie obce kształty, które zaczynały się na mnie składać. Nim Alicja zdążyła sformułować pytanie, o jaką katastro-

fę chodziło, starzec odparł, że nie zdąży wyjaśnić, bo nadchodzi faza REM snu.

To, co widzę, przybiera formę ruchomych obrazów. Ale kojarzy mi się ze znanymi mi malarskimi dziełami. Widziałam mnóstwo sztuki, więc mózg podsuwa mi różne jej przejawy. Pierwszy obraz: Nicolai Abraham Abildgaard, „Koszmar”, rok 1800. Leżę z Grzanką na łóżku. Siedzi na mnie jakieś stworzenie. Jest włochate i mniejsze od człowieka. Uciska mi płuca, nie mogę oddychać. Drugi obraz: Edward Munch, „Śmierć Marata”, rok 1907. Stoję odwrócona od łóżka. W nim leży Marcin. Ale coś z nim jest nie tak. Krwawi. Patrzę na rękę. Mam krew na rękach. To moja wina. Trzeci obraz: Francisco Goya, „Saturn pożerający własne dzieci”, rok 1823. Stary, pomarszczony bóg o ciemnej karnacji i siwych włosach chwytając moje ciało i zaczyna odgryzać kolejne kawałki. Myślę, że się budzę... Ale nie mogę się ruszyć. Paraliż senny. Odczuwam głębokie przerażenie. Czuję czyjąś obecność. Chcę krzyczeć, płakać, ale nie mogę. Leżę dalej bez ruchu ze świadomością, że mogę umierać, ale nikt mi nie przyjdzie pomóc, bo nie potrafię poinformować innych o swoim bólu, przekazać im, jak bardzo mnie boli, żeby mnie uratowali, wyciągnęli, podali rękę... Ale nikt nie przyjdzie. Cierpię więc. Aż robi się jasno. Wtedy cierpię dalej, ale nie mogę już leżeć.

Z trudem wstaję, ubieram się i wychodzę z domu. Nie idę jednak do szkoły. Z tym, czego dowiedziałam się podczas snu, mam zamiar wystawić na próbę rzeczywistość tego świata. Skoro mogę kreować rzeczywistość, mogę też podważyć jej podstawy. Chodząc po mieście, zaczynam zauważać coraz więcej rzeczy, które nie pasują. Jadące samochody... Spieszący dokądś ludzie... To wszystko słowa. Uformowane w zdania i akapity, określające w całości moją sytuację. Scenerie, znalezione gdzieś na Google Grafice i odwzorowane. Zdając sobie z tego sprawę, będę mogła świadomie wyjść poza ramy nieistniejącego miasta i poszukać źródła zagrożenia. Nie jestem pewna, czego szukam, ale próbuję nagiąć rzeczywistość tak, by to odnaleźć. Niech to, co jest przyczyną zbliżającej się katastrofy, pojawi się w kolejnym akapicie.

Widzę... siebie... Wygląda tak samo, ma to samo ubranie... Co? Nie rozumiem.

– Jeszcze się nie domyśliłaś?

– Nie, to jakaś pomyłka, dlaczego widzę siebie?!

– Chciałaś wiedzieć, kto doprowadzi do zniszczenia tego świata. Ty tego chciałaś.

Widzę gdzieś w oddali, że przyjaciele się o mnie martwią, bo nie dawałam znaku życia i nie pojawiłam się w szkole.

– Nie chcę, żeby moim przyjaciołom się coś stało.

– Nie myśl teraz o tym. Chciałaś poznać prawdę o sobie. Oto prawda: były czasy, gdy nie było wokół ciebie niczego. Nie miałaś koloru. Płci. Z tamtego okresu został ci tylko nos i kształt twarzy. Byłaś tylko czarnymi kreskami ułożonymi w ludzki kształt, który miał zostać naszkicowany. Byłaś tylko koncep-

tem POSTACI, niczym więcej. Pamiętasz głosy, które słyszałaś? „Wydaje mi się, że możesz zacząć albo od ustalenia wyglądu albo charakteru”. „Wyszedłem z założenia, że powinna być względnie realistyczna i nie może mi się z nikim kojarzyć. Tak przez wygląd, jak i przez imię”. Nie miałaś pojęcia, o czym mówią głosy i do kogo należą. Aż w końcu usłyszałaś „Alicja”. Pierwsze imię, które usłyszałaś, było tym właściwym. Wkrótce otrzymałaś nazwisko. Je wymyślił jeszcze ktoś inny. Twoich przyjaciół dopiero miał czekać proces kreacji. Wybacz bezpośredniość. Ale teraz znasz już całą prawdę. Możesz żyć dalej w tym świecie, ale świadomość i ból istnienia nigdy nie znikną. Czy jesteś w stanie poświęcić swój spokój ducha dla dobra innych?

Widzę wspomnienie innych konceptów POSTACI, kształty bez cech pozwalających na rozróżnienie i bez charakteru. Kontury, rozmyte zarysy nie pozwalające choćby na określenie płci. Niektóre z nich stały się później dla mnie ważne.

– Ciężko mi w to wszystko uwierzyć – odpowiadam zmieszana i szokowana, ale nie mniej niż to, szokuje mnie jałowość odczuwanych przeze mnie emocji. – Ale po tym, czego doświadczyłam, wydaje mi się, że to faktycznie prawda. Myślę, że wiedząc za wszystko, nie będę w stanie kontynuować tak męczącej egzystencji. Co się stanie z moimi przyjaciółmi, jeśli postanowią to zakończyć? – spytałam, podchodząc do zamrożonych w czasie przyjaciół. Grzanki, Marcina i Pawła. Dotknęłam Grzanki. Nie odczuwam niczego, może poza potężnym, mentalnym ukłuciem żalu.

– Nic nie poczują – zapewnia mnie.

Widzę, jak rzeczywistość zaczyna się rozpadać. Kolejne fragmenty odpadają. Przytulam Grzankę i czuję, że mam mokre oczy. Wkrótce i ona wymyka się z moich rąk, a dookoła zapada mrok. Moje odbicie stoi tyłem do mnie i mówi:

– Już czas to zakończyć, Alicjo.

– Tak – zgadzam się. I idę za nią w ciemność.

[Elementy fabuły i postaci opowiadania stworzone przy pomocy Karoliny Boczoń i Jowity Poremskiej (Białystok). Za konsultację i pisarskie rady dziękuję Annie Kowalczewskiej (Gorzów Wielkopolski).]

Kamil Kwiatkowski - z urodzenia gorzowianin. Zajmuje się muzyką pod pseudonimem Wrathu, sty-pendysta miasta Gorzowa Wielkopolskiego. Zastępca redaktorów naczelnych LandsbergOnu oraz Trzynastego Schronu. Nauczyciel j. angielskiego.

Opowieść o gorzowskiej Wandzie część II

W poprzedniej części: W mało poznanych gorzowskich podziemiach znajduje się coś, przez co giną bezdomni i ludzie mający niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwisko. Olgierd Plaski i Igor Schmidt, dwóch detektywów amatorów i poszukiwaczy przygód, próbuje uwolnić miasto od... Wandy – mitycznej księżniczki, która kierując się żądzą zemsty zabija uprowadzonych mężczyzn. W akcji pomagają im żołnierze z jednostki w Międzyrzeczu. W tym samym czasie do Polski jedzie delegacja Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Jej przewodniczący, Ernst Koch, jest bratem zabitego przez Wandę przedsiębiorcy z Gorzowa. Czasu jest coraz mniej, a każdy z bohaterów ma swoją sprawę do załatwienia.

Lipiec był upalny w każdym zakątku Europy. Nieprawdopodobny żar lał się z nieba już od połowy maja i nic nie zapowiadało, że pogoda zmieni się na deszczową. Ernst Koch poprawił krawat i ściągnął łopatki, prostując się jak struna. Zimno mokrej od potu koszuli, która przyklejała mu się do pleców, spowodowało nieprzyjemne odczucie, które można by porównać do wyjścia z podgrzewanego basenu w chłodną, jesienną noc. Koch lubił swój zakątek. Przyjeżdżał do pensjonatu Alte Bäder w każdej wolnej od posiedzeń Komisji chwili. Ten siedemdziesięciodwuletni Bawarczyk uwielbienie do starych, niemieckich uzdrowisk wyssał z mlekiem matki. Bywały sytuacje, gdy na zebraniach dotyczących sądów i prokuratur wiercił się niecierpliwie w fotelu, wizualizując sobie w myślach chwilę błęgiego relaksu w basenach z gorącą wodą termalną. Teraz stał w szatni i dosłownie chwile dzieliły go od zanurzenia się w hektolitrach przyjemności. Jeszcze tylko zrzucić z siebie ubranie, obmyć się pod bieżącą wodą i hop... Do rzeczywistości przywołał go dzwonek telefonu.

– Cholera! – zaklął pod nosem – Wiedziałem, żeby wyłączyć.

– Koch, słucham – odezwał się do słuchawki.

– Panie przewodniczący – powiedział Martin Eckbert, sekretarz w urzędzie do spraw przeciwdziałania nadużyciom władzy sądowniczej – z tej strony Eckbert.

– Wiem, Martinie. Wyświetlił mi się twój numer – znudzonym głosem odpowiedział Koch. – Co się stało?

– Panie przewodniczący – kontynuował rozmówca. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale myślę, że powinien pan dowiedzieć się jako pierwszy.

Ernst Koch napiął wszystkie mięśnie i rzucił do słuchawki:

– O czym?

– Od kilku dni próbujemy skontaktować się z pańskim bratem. Bezskutecznie. Właśnie nadeszła wiadomość, z anonimowego źródła, że pański brat... nie wiem, jak to powiedzieć, panie przewodniczący...

– Wyduś to z siebie w końcu! – ponaglił go Koch z nutą złości w głosie.

– Pański brat nie żyje.

Przewodniczącemu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości świat zawirował przed oczami paletą różnokolorowych plam.

– Wypadek? – zapytał.

– Nie. Nasze źródło podaje, że został zamordowany w brutalny i... eee... nietypowy sposób na terenie Rzeczypospolitej Polskiej – odpowiedział sekretarz.

– Kto prowadzi śledztwo? – Koch starał się zachować opanowanie w głosie.

– To jeszcze ustalają nasi ludzie. Panie przewodniczący, proszę przyjąć wyrazy najgłębszego...

– To niech ustalają szybciej! – krzyknął Koch do słuchawki, nie pozwalając Eckbertowi dokończyć zdania. – Do wieczora mam mieć numer telefonu osoby prowadzącej dochodzenie! Czy to jasne?

– Tak, panie przewodniczący – odpowiedział Eckbert służalczym tonem.

Koch wcisnął czerwoną słuchawkę, definitywnie kończąc połączenie i zaczął spisywać pytania, które zada stronie polskiej zaraz po przyjeździe. Jedno z nich podkreślił kilka razy. Brzmiało ono: „Co do kurwy nędzy się u was dzieje?”. Pomyślał chwilę i zamazał zwrot „do kurwy nędzy”. Zamiast tego napisał „do jasnej cholery”. Był w końcu przewodniczącym poważnej instytucji. Nie wypadało mu używać takich wulgarnych sformułowań. Chociaż krew się w nim gotowała, postanowił załatwić sprawę na chłodno. Chłodno, ale zdecydowanie.

„Niech nie myślą, że mogą sobie z nami pogrywać”. Zamknął terminarz i wybrał w telefonie jeden z polskich numerów.

– Tak jest! – kapitan Stecki zakończył rozmowę podniesionym głosem, tak charakterystycznym w środowisku wojskowych. Odwrócił się na pięcie i spojrzął w oczy podoficera dyżurnego.

– Kapralu – rzucił – zbiórka kompanii. Tryb alarmowy. Czas operacyjny: trzydzieści sekund.

Kapral Baterski wyprostował się jak kij i z krótkim „rozkaż” wybiegł na korytarz.

– Zbiórka kompanii! Alarm, alarm, alarm!

Nim wybrzmiało echem ostatnie słowo, na korytarz zaczęli wyskakiwać z sal żołnierze. Jedni w pełnym umundurowaniu, inni w niekompletnym. Nim

upłynął czas dany przez Steckiego, trzydziestu mężczyzn stało w równym dwuszeregu i w milczeniu oczekiwało na dowódcę.

– Panie kapitanie! Dyżurny kompanii... – kapral Baterski zaczął składać meldunek Steckiemu.

– Dobra! Dziękuję – uciał kapitan. – Chłopcy! – zwrócił się po ojcowsku do podwładnych. Traktował ich z szacunkiem, a oni odpłacali mu tym samym.

„Szanuj mnie i pójdą za mną w ogień” – pomyślał i powiedział:

– Otrzymałem telefon od ministra obrony narodowej. Coś dzieje się na naszym terenie. Coś niedobrego.

– Terrorysty? – zapytał jeden z żołnierzy.

Nie do końca – odpowiedział Stecki. – W zasadzie sami nie wiedzą, co. Coś zagnieździło się w kanałach pod Gorzowem i musimy to wyeliminować. I mamy na to bardzo mało czasu. Ekwipunek pełny. Broń z magazynu długa i przyboczna. Granaty tylko hukowe. Zakwaterowanie i zaprowiantowanie na miejscu – wydał krótkie polecenia. – Za godzinę zbiórka na placu apelowym. Kierowcy pobierają broń w pierwszej kolejności i podjeżdżają pojazdami na plac. Baterski! – zawołał podoficera dyżurnego.

– Na rozkaz!

– Leć natychmiast do saperów i weź od nich czterech specmanów.

Godzinę później na placu apelowym zgromadził się oddział uzbrojonych żołnierzy. Stecki wydał polecenie „do wozów” i po minucie wszyscy siedzieli w dwóch ciężarówkach i trzech Hammerach. Kapitan zajął miejsce obok kierowcy w jednej z terenówek i kolumna opuściła teren koszar. Jechali trasą S3 z równą prędkością i zgodnie z zaleceniami ministra starali się nie rzucać w oczy. Po 40 minutach dotarli do punktu docelowego. Miasteczko namiotowe przypominało obóz dla uchodźców. Kilkanaście namiotów, tłum ludzi i stalowa siatka odgradzająca rejon wejścia do kanałów od reszty miasta. Tak wyglądał obraz obszaru działań służb miejskich i Steckiemu skreślił się żołądek.

– Ale syf... – skwitował i wydał rozkazy swoim ludziom. – Dowódcy drużyn, sprawdźcie ekwipunek i czekać na dalsze rozkazy!

Sam udał się w kierunku namiotu, w którym (jak przypuszczał) mieścił się sztab dowodzenia. Po dotarciu na miejsce wszedł do namiotu i zameldował:

– Dowódca kompanii specjalnej, kapitan Stecki. Co się tu, u licha, dzieje?

Twarze zgromadzonych w namiocie ludzi zwróciły się w jego kierunku. Z tłumy wyszedł do niego prezydent, wyciągnął rękę na przywitanie.

– Może ja wyjaśnię – zza pleców prezydenta wysunął się Plaski.

– Cześć, Olgierd – przywitał się cierpko Stecki. – Znowu mieszasz, co?

– Cześć Robert – Plaski uściśnął dłoń żołnierza.

– Nie ja tu mieszam. Możesz na moment? – zapytał i skinął głową w stronę wyjścia z namiotu.

Obaj wyszli na zewnątrz, zostawiając w środku zdezorientowanego prezydenta i pozostałe osoby.

– Co tu się dzieje? – zapytał Stecki, gdy odeszli kilka metrów od namiotu.

– Słuchaj. W kanałach jest coś, z czym się nigdy dotąd nie spotkałeś. Ani tu, ani tam – wskazał kciukiem w kierunku południowo-wschodnim.

– Jaśniej – Stecki zmrużył oczy.

– Pamiętasz opowieść o Wandzie, co nie chciała Niemca?

– Pamiętam. Czekaj – kapitan zrobił pauzę. – Chcesz powiedzieć, że...

– Że w kanałach jest Wanda – dokończył Plaski.

– Sam bym nie uwierzył, gdybym nie widział jej na własne oczy. Robert, ona istnieje!

– Bzdura! – obruszył się Stecki. – Masz omamy od wody. Powinieneś udać się do specjalisty!

– Robert, kurwa, widziałem ją! – wykrzyknął zirykowany Plaski. – Ona tam jest! Wiesz, co to oznacza?

Stecki zmierzył Olgierda wzrokiem i widząc strach w jego oczach rzekł:

– Wiem. To oznacza, że mamy przejebane.

– Przepraszam, że przerywam panom tę miłą pogawędkę – odezwał się z boku Schmidt – ale mamy coraz mniej czasu.

– Mój kolega, Igor Schmidt – przedstawił go Plaski. – Ekspert z dziedziny historii i kulturoznawstwa. Widział to, co ja widziałem. Może ci to potwierdzić.

Kapitan Stecki przyjrzał się mężczyźnie. Jego brudny, uwalany szlamem kombinezon nie wywarł na nim pozytywnego wrażenia.

– Masz jakiś plan działania?

– A czym dysponujemy? – zapytał tamten.

– Mam trzydziestu sześciu ludzi. Sześciu saperów, reszta sprawdzona na islamskiej ziemi. Sami twardzi goście, którzy nie czują strachu i wypełnią każdy wydany przeze mnie rozkaz.

– Wiesz, że wielu może zginąć? – zapytał Plaski.

– Wiem. I oni też to wiedzą. Mogli wybrać zawód kasjera w markecie lub przedstawiciela handlowego. Człowieku, oni żyją dzięki adrenalinie. Pamiętasz, jak ich ćwiczyliśmy? Ostra amunicja, prawdziwe granaty, krew i rany...

– Pamiętam – odparł krótko Plaski.

Schmidt spojrział na niego szeroko otwartymi oczami.

– To ty byłeś...

– Naszym dowódcą – dokończył Stecki. – Olo przygotowywał nas do pierwszej zmiany w Iraku. Osobiście wypruwał z nas flaki i sprawiał, że taplailiśmy się we własnym gównie. Ale dzięki temu wszyscy wróciliśmy cało do kraju z pierwszej i każdej następnej zmiany w Iraku i Afganistanie. Opowiadał ci, jak sam zlikwidował gniazdo moździerzy podczas ostrzału Karbali?

– Nie – Schmidt był błydy jak papier. Okazało się, że zupełnie nic nie wiedział o człowieku, w którym pracował. – Myślałem, że...

– Że to fajtlapa i poszukiwacz meneli? – zaśmiał się Stecki. – Nie kolego. Major Plaski to kawał skurwysyna, który od zawsze wyznaje zasadę marszałka Józefa Piłsudskiego – „Im więcej potu na treningu tym mniej krwi w boju”. I wiesz, co? Żaden z moich ludzi nawet się nie skaleczył na misjach. Ten zasraniec tak ich przygotował, że szpital polowy zarósł pajęczynami podczas naszych działań na bliskim wschodzie a lekarze-łapiduchy z nudów zorganizowali sobie kasyno. Jeżeli ktokolwiek mógłby nami dowodzić, to ten gość. Ten facet, to jest gość – Stecki wskazał na Plaskiego i stanął na baczność.

– Panie majorze, melduję kompanię specjalną gotową do podjęcia działań!

– Przestań – skarcił go Plaski. – Nie jestem żołnierzem od sześciu lat.

– Składałeś przysięgę i nikt cię z niej nie zwolnił! – syknął Stecki. – Jesteś żołnierzem do końca życia. Więc wydaj rozkazy, skurwysynu, a my je wykonamy.

Plaski wyprostował się. Był żołnierzem. Nikt nie zwolnił go z przysięgi, którą składał na sztandar. „To jest moje Katharsis” – pomyślał i powiedział do Steckiego:

– Uformuj trzy drużyny. Pełne uzbrojenie. Zlikwidujemy to ścierwo.

– I to jest właśnie major Plaski, jakiego pamiętam – odezwał się Stecki do Schmidta. – Kawał twardego chuja.

Igor przewrócił oczami i nie wypowiedział ani słowa.

– Igorze – szepnął Plaski do kolegi. – Przekaż kapitanowi, żeby wysłał swoich ludzi w rejon wieży ciśnień przy dworcu PKP. Małymi grupami, po dwie, trzy osoby. Tylko błagam, dyskretnie!

Igor polecał do Steckiego, żeby przekazać mu dyspozycję Olgierda. Wciąż był

w szoku po tym, co przed chwilą usłyszał o swoim koleźce. Faktycznie. Do tej pory brał go za ciapowatego poszukiwacza meneli i lumpów, który nie potrafi stanąć twardo na nogach i zająć się rzeczą robotą. Bardzo mu pasował taki wizerunek Plaskiego, ponieważ pozwalał mu na działanie w jego cieniu. Podczas gdy Plaski zbierał joby albo użerał się ze służbami miejskimi, on mógł w spokoju zająć się poszukiwaniem tego, co stanowiło dla niego najważniejszy cel: zaginiony skarb Przemysła I-go. Ten XIII wieczny ksiądz Wielkopolski w 1247 roku odzyskał Santok w związku z tzw. rewindykacją. Jednak utracił go w 1266 na rzecz murgrabiów branderburskich. W wyniku wielu spłotów okoliczności zmuszony został do natychmiastowego porzucenia grodu i ziem przyległych. W ostatniej chwili udało mu się ukryć swój skarb w podziemiach leżącego nieopodal grodu miasteczka Landisberch Nova (dzisiejszy Gorzów Wielkopolski). Według niektórych dokumentów Przemysł I zgromadził w tamtym okresie majątek warty dzisiaj około 10 milionów złotych. Oczywiście wartość historyczna skarbu była o wiele więk-

sza, chociażby ze względu na domniemaną obecność rękawicy Ottona III, który miał ją założoną podczas wręczania Bolesławowi Chrobremu kopii włóczni św. Maurycego podczas zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 roku. Misternie wykonana ze złota rękawica wysadzana była drogocennymi kamieniami szlachetnymi, a także posiadała wygrawerowane przesłanie dotyczące przyszłości ludów Europy. Stanowiła pewnego rodzaju święty Graal wśród poszukiwaczy skarbów na całym świecie. Igor wiedział (mniej więcej), gdzie jej szukać. I czuł, że jest blisko jej odnalezienia. Wszystko zniweczyła ta szkaradna poczwara, która pojawiła się nagle w kanałach pod Gorzowem i zwróciła uwagę wszystkich służb. Może gdy uda się ją zgładzić, dokończy swoje poszukiwania? Tymczasem zbliżył się do kapitana Steckiego stojącego pod rozłożystą wierzbą i instruujuącego jednego z żołnierzy, jak ma założyć oporządzenie.

– Major Plaski polecił udać się w rejon pobliskiej wieży ciśnień. W małych grupach nie wzbudzających podejrzeń – wyrzucił z siebie, używając charakterystycznej dla wojska powściągliwości. Co nieco pamiętał z przygotowania wojskowego, które odbył podczas studiów.

– Słyszeliście – Stecki odwrócił się do żołnierzy. – Trójkami w wyznaczony rejon. Udać się!

Żołnierze przegrupowali się w trzyosobowe zespoły i posłusznie, nie wzbudzając podejrzeń zaczęli przemieszczać się do wieży ciśnień.

Gdy dotarli na miejsce, Plaski otwierał już duże drzwi prowadzące do wnętrza wieży. W zasadzie było to tylko pół wieży, ponieważ w wyniku zaniedbań jej górne kondygnacje uległy zawaleniu kilkanaście lat wcześniej. We wnętrzu dolnego poziomu wały się pokruszone cegły, połamane deski i dachówki, stanowiące kiedyś górną część wieży. Plaski przeszedł kilka kroków i mniej więcej na środku wieży zaczął odgarniać zalegające śmieci, kawałki cegieł i drzazgi. Po kilku minutach udało mu się dokopać do masywnego koła zamocowanego do solidnej, betonowej płyty.

– Żołnierzu, pozwólcie tutaj – zwrócił się do stojącego opodal chłopaka z przewieszonym przez ramię karabinkiem MSBS-5,56 Grot. Młody człowiek, na oko 25-latek podszedł do Plaskiego. Ten wyciągnął z plecaka gruby pręt o długości około 1,5 metra i podał go żołnierzowi, mówiąc:

– Przełóż go przez to oko i razem z kolegą spróbujcie podnieść wąż.

Drugi żołnierz stojący obok bez chwili wahania rzucił się na pomoc koleźce i już po kilku sekundach unieśli wąż i odsunęli go na bok. Oczom zgromadzonych ukazał się prostokątny otwór, z którego prowadziła w dół metalowa drabinka przytwierdzona do ściany.

– Panowie, przedstawiam wam wejście B – rzekł Plaski do zgromadzonych i nie czekając na ich reakcję, zsunął się po drabinie w ciemność.

Gdy stopy Olgierda dotknęły ziemi, nie rozległ się odgłos tupnięcia, tylko plusk wody, w którą wpadł do kostek.

– Kurwa... – zaklął pod nosem. Wciąż nie miał stuptutów, więc wewnątrz jego butów stanowiła już mieszanina tego w czym brodził w pierwszym kanale z zawartością kanału drugiego. Tutaj na szczęście nie śmierdziało.

– Jaka odmiana – zwrócił uwagę Igor, który zsunął się po drabince zaraz za Plaskim – nie śmierdzi.

– Bo to jest kanał burzowy, a nie ściekowy. Tęskno ci do smrodu? Za kilka minut go poczujesz.

Igor skrzywił się na wspomnienie nieprzyjemnego zapachu, ale nie miał czasu na przemyślenia. Po drabince kolejno zaczęli zsuwać się żołnierze kapitana Steckiego. Gdy ich dowódca zjechał na dno kanału, Olgierd rzucił żołnierzom krótkie pytanie:

– Czy któryś z was ma niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwisko albo jest potomkiem w pierwszej linii jakiejś niemieckiej rodziny?

– Moja matka jest z domu Koffler – powiedział jeden z żołnierzy.

– A moja z Dunkopf – dodał drugi.

– W porządku – rzekł Plaski. – Zostajecie tutaj. Pilnujcie, żeby nikt nie zszedł do tego kanału. W razie pytań, skażenie terenu, akcja dezynfekcyjna i takie tam. Wiecie, co robicie?

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem dwaj żołnierze.

– Dobrze. Pozostali. Cel znajduje się kilkaset metrów w linii prostej od nas. Jednak, żeby do niego dotrzeć musimy pokonać kilka kilometrów. Będziemy schodzić na trzeci poziom kanałów i znajdziemy się na głębokości ponad czterdziestu metrów. Czy komuś to przeszkadza?

– Trzeci poziom? – zapytał Stecki. – Przecież on nie istnieje!

– Za chwilę się przekonasz, że jednak istnieje – uśmiechnął się Plaski. – Od dziesięcioleci nikt tam nie zaglądał, więc nie wiem, co tam się znajduje. Mogą to być całe kanały, mogą być zawalone fragmenty. Idziemy na żywioł i nic nie jest pewne. Ludzie, ruszamy! – Plaski wydał polecenie i ruszył przed siebie, oświetlając sobie drogę latarką.

– Poczekaj! – krzyknął za nim Stecki. – Masz. To ci się przyda – powiedział i wręczył Olgierdowi pistolet Beretta M92. Plaski chwycił broń, sprawdził magazynek, przeładował, zabezpieczył i włożył sobie za pasek. Zrobił to tak szybko i tak sprawnie, że Igorowi znowu opadła szczęka.

– Nie śliń się dzieciaku – Stecki szturchnął go w bok. – Dla ciebie też coś mam – To powiedziawszy podał Schmidtowi Glocka 17. – Strzelałeś kiedyś?

– Kilka razy byłem na strzelnicy, a mój wujek ma ranco pod Gorzowem, gdzie podczas wakacji...

– Dobra, dobra – przerwał mu Stecki. – Lufa przed siebie, tu odbezpieczasz, namierzasz cel i pociągasz za spust. Najważniejsza zasada? – zapytał, podnosząc głos.

– Twój dowódca nie może być przed twoją lufą! Reszta się nie liczy! – chórem krzyknęli pozostali żołnierze.

– Dokładnie – uśmiechnął się Stecki. – W razie kłopotów uciekaj do tyłu i nie włącz na linię ognia.

– Kłopoty to mamy od samego początku dzisiejszego dnia – stwierdził kwaśno Igor, na tyle cicho, że nikt go nie usłyszał.

Światło docierające do tunelu przez otwór wejściowy pozwalało jedynie na zapoznanie się z pobieżnie naszkicowanym planem tuneli. Plaski stał bezpośrednio pod otworem, a zgromadzeni wokół niego żołnierze przyglądali się kartce. Igor i kapitan Stecki stali trochę dalej i nie widzieli dokładnie rysunku Olgierda.

– Panowie, sytuacja wygląda następująco – Plaski zwrócił się do żołnierzy: – Mamy do pokonania prawie sześć kilometrów tuneli. Nie wiem, w jakim są stanie technicznym. Nikt tu nie schodził od czterdziestu lat. Może być tak, że są częściowo zawalone. Nie ma innej drogi, więc musicie być przygotowani na odgruzowywanie. Za chwilę zejdziemy na głębokość ośmiu metrów poniżej poziomu ulicy. Drgania gruntu powstałe podczas prac na powierzchni nie powinny znacząco wpłynąć na stan techniczny tuneli, ale lepiej być gotowym na każdą ewentualność. Na końcu naszej drogi jest komnata o wymiarach mniej więcej sześnaście na osiemnaście metrów. W komnacie tej znajduje się Wanda. Wanda jest stworzeniem znanym z legend i podań. W skrócie to polska księżniczka, która nie chcąc wyjść za mąż za Niemca, utopiła się w Wiśle. Z nieznanых przyczyn, powiedzmy, zmutowała, przetrwała kilka wieków i dotarła do Gorzowa. Tu zagnieżdżyła się w starych kanałach, zabiła wszystkich bezdomnych, którzy znaleźli schronienie w podziemiach, rozszarpała brata przewodniczącego Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości i, jak mierniam, zabije wszystkich mężczyzn noszących niemieckie lub niemiecko brzmiące nazwisko. Wszystko to z zemsty za pewnego niemieckiego księcia, który jej nie przypasował.

– A co do tego mają bezdomni? – zapytał inny żołnierz.

– Wanda musi przecież coś jeść! – krótko skwitował Plaski. – Byli dla niej jak kanapki z McDonaldsa.

– Wredna suka – skwitował żołnierz.

– Taa... Niemniej jest problem, który musimy rozwiązać, panowie. Broń przeładowana, odbezpieczona, gotowa do strzału. Nie wykluczam możliwości, że ona wie o naszej obecności i czeka na nas w jakimś załomie czy wnęce. Nie brać jeńców. W kanałach jesteśmy tylko my i ona, więc nie ma ryzyka śmierci przypadkowych osób – Plaski znów poczuł się dowódcą, jak wtedy w Karbali. – Strzelać, żeby zabić!

Wśród żołnierzy przeszedł szmer zrozumienia. Powietrze wypełnił odgłos przeładowywanej broni.

Poruszanie się po sieci tuneli pod Gorzowem nie nastręczało zbyt wielu problemów ekipie dowodzonej przez Olgierda Plaskiego. Mocne światło latarek umieszczonych pod lufami karabinów rozpraszało ciemność i sprawiało, że tunele przestawały kryć ja-

kąkolwiek tajemnicę. Przynajmniej w zasięgu światła. Moc 600 lumenów pomnożona przez ilość latarek dawała strumień światła, który osobie znajdującej się naprzeciwko z pewnością wypaliłby oczy. Dzięki temu w dość szybkim tempie udało im się pokonać połowę dystansu, który dzielił ich od komnaty, w której przebywała Wanda. To jednak nie uspokajało Olgierda, który nerwowo zaglądał w każdy załom w ścianach tunelu.

– Co jest, Olo? – zapytał wesoło Stecki. – Coś taki nerwowo?

– Sam nie wiem – przyznał cicho Plaski. – Coś jest nie tak. Nie wiem co, ale mam dziwne przeczucie. Jakbyśmy byli obserwowani.

– Wanda? – Stecki spowaźniał. – Myślisz, że ona wie o naszej obecności?

– Z pewnością – odpowiedział szeptem Plaski. – Nie znam jej za dobrze. Coś tam słyszałem od mieszkańców terenów, na których się pojawiła. Jedni mówili tak, inni inaczej. Wiesz, jak to jest. Każdy ma swoje zdanie na dany temat, każdy chce zabłysnąć, pochwalić się, że wie więcej niż inni. Jedni widzieli to, inni tamto. Niektóre rzeczy powtarzały się w różnych miejscach. Wszyscy są zgodni co do wyglądu Wandy. Ale to już wiem, bo sam ją widziałem. Mówią też, że Wanda ma bardzo słaby słuch i wzrok, ale wyczuwa wszystko przez skórę. Drobnie zawirowania powietrza, zmiana temperatury, ciśnienia. Szybszy oddech, zdenerwowanie. Jak to mówią: wyczuwa strach. Powiadają, że potrafi śpiewem zauroczyć ofiarę tak, że ta nie jest w stanie się ruszyć z miejsca. Pewien stary rybak z okolicy Nakła nad Notecią opowiadał mi, że widział, jak Wanda zwabiła do siebie jego sąsiada. Sąsiad, a jakże, miał niemieckie nazwisko. Richter, czy jakoś tak. Wanda śpiewała mu pieśń, a on stał jak zaczarowany. Nawet gdy znalazła się przed nim na wyciągnięcie ręki. Stał i się nie ruszał. Wtedy opłotła go swoim ogonem od nóg aż po pierś. Dłońmi chwyciła za głowę i skrzyła mu kark, a następnie pożarła jak jakiś wąż. Od tamtej pory rybak już nie wypływa. Boi się nawet wyjść domu.

– To, że żyje znaczy, że ma polskie nazwisko? – zapytał retorycznie Stecki.

– Kowalski – uśmiechnął się Plaski. – Ma najbardziej polskie nazwisko: KOWALSKI.

Stecki parsknął śmiechem, a jego echo poniosło się tunelem. Momentalnie zamilkł, przykładając palec do ust.

– Co jest? – spytał Plaski, widząc dziwne zachowanie kolegi.

– Ciii... – uciszył go Stecki i wskazał dłonią przed siebie. – Chłopaki coś mają.

Faktycznie. Jakieś dziesięć metrów przed nimi kilku żołnierzy zatrzymało się i przyjęło kłęczącą postawę strzelecką. Porozumiewali się za pomocą gestów, które Olgierd pamiętał z Afganistanu. Pozostali żołnierze, którzy szli za nimi przywarli do ścian tunelu z bronią wycelowaną przed siebie. Nikt się nie

ruszał. W tunelu panowała absolutna cisza. Światło latarek taktycznych przesuwało się po ścianach tunelu w kierunku zięjącej chłodem ciemności przed nimi. Powoli, metr po metrze, wzrok zgromadzonych wylapywał architektoniczną doskonałość dawnych budowniczych. Sklepienie z cegieł znajdujące się nad ich głowami pozbawione było spoiny! Cegły użyte do budowy tuneli były tak poukładane, że dociskały się nawzajem, tworząc zwartą strukturę nie wymagającą użycia spoiny. Co ciekawe, wystarczyłoby wyjąć jedną z cegieł, żeby cały sufit runął w dół, zasypując tunel.

– Psiakrew! – syknął Stecki. – Toż to cud inżynierii! Jak oni tego dokonali?

– To proste – odpowiedział mu Plaski. – Budowniczywie dawnego Landsberga byli mistrzami w tworzeniu tego typu konstrukcji. Całe miasto stoi na sieci tuneli i komnat, które miały być wykorzystywane w sytuacji oblężenia. To pod ziemią mieli schronić się wszyscy mieszkańcy w chwili, gdy front podszedłby pod granice miasta. Coś jednak poszło nie tak i Armia Czerwona zbyt szybko zajęła miasto, nie pozwalając mieszkańcom na ewakuację.

– Kapitanie! – zwrócił się do Steckiego jeden z żołnierzy będących na szpicie. – Przed nami jakiś ruch. Nie wiemy, co to jest, ale zmierza w naszym kierunku.

– Przygotować się – rozkazał Stecki. – Strzelać bez rozkazu, jak tylko zauważycie cel.

W tych tunelach nie ma nikogo oprócz Wandy i nas.

Żołnierze stanowiący czoło ekspedycji wycelowali broń przed siebie i powoli, omiatając światłem latarek ściany tunelu, zaczęli przesuwać się naprzód. Olgierd Plaski zaczął rozmyślać na temat przekazów, które usłyszał od mieszkańców terenów, na których pojawiła się Wanda, gdy nagła feeria pocisków z karabinów maszynowych rozdarła panującą w tunelu ciszę. Huk był tak potężny, że zakrzyliło mu się w głowie i upadł na kolana, zanurzając dłonie w gęstej mazi pokrywającej podłogę. Przed oczami stanął mu obraz pamiętnej nocy w Karbali, podczas której iraccy rebelianci ostrzelali ratusz długimi seriami z broni maszynowej. Wtedy po raz pierwszy poczuł prawdziwy strach. Jednak teraz oszołomienie i skołowanie minęło bardzo szybko i Olgierd poderwał się do góry, dobywając zza pasa berette. Przeladował, wymierzył przed siebie i uważając, żeby nie postrzelić żadnego ze znajdujących się z przodu żołnierzy, wystrzelał cały magazynek w ciemność. Po ostatnim wystrzale nastąpiła cisza.

Ciąg dalszy nastąpi.

Jakub Łukasik – gorzowianin. Absolwent Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa z siedzibą w Poznaniu, miłośnik historii, muzyki heavy metalowej i dobrej kuchni. W wolnych chwilach trenuje Aikido i eksperymentuje kulinarnie.


Ostatnia Tawerna



Twoje fantastyczne miejsce w sieci!
www.ostatniatawerna.pl

Gotowi na świetlaną przyszłość?

MY TAK!


TRZYNASTY-SCHRON.NET





GORZÓW
WIELKOPOLSKI

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wlkp.



MADE
FOR
SUSHI
LOVERS
SUSHI HOUSE

GORZÓW

#StądJestem

f przystan

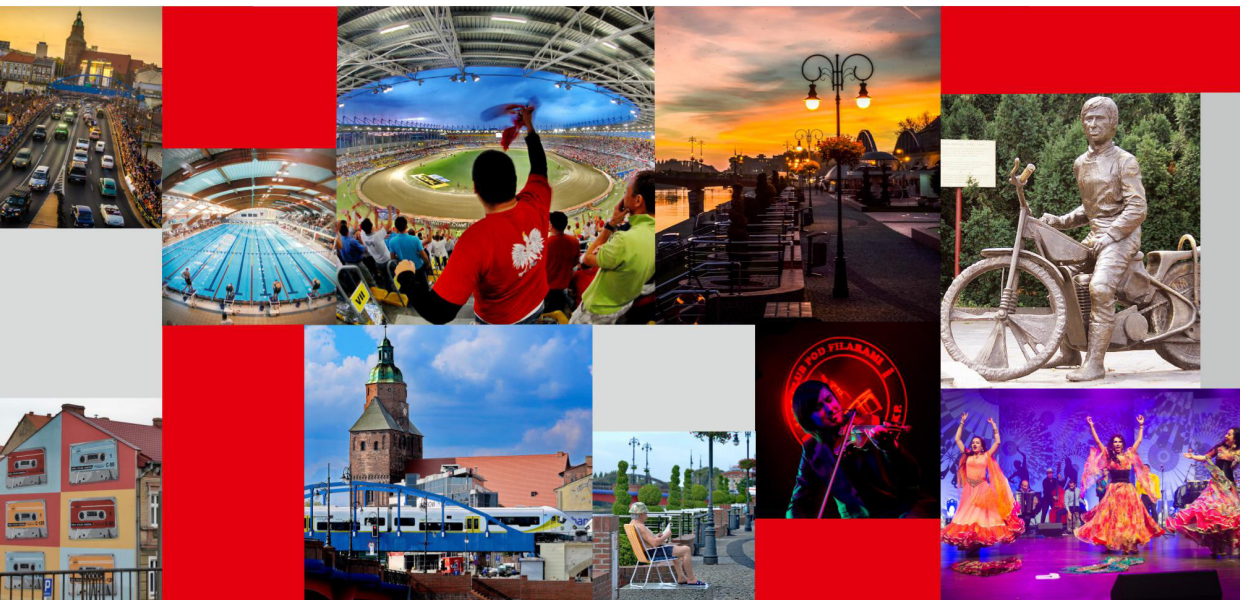
www.gorzow.pl



wwwGORZOWpl



[gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie na rzecz Innowacji Społecznych NOVUM,
ul. Matejki 64B/20 Gorzów Wlkp.,
e-mail: landsbergon@gmail.com,
tel. 669-847-078, Mariusz Sobkowiak – red. naczelny,
Kamil Kwiatkowski – zastępca red. naczelnego, Piotr Jakubowski – redaktor merytoryczny,

Aleksandra Jaworek – sekretarz redakcji,
Karol Wojdyło – korekta,

Grafika na okładce: Zbigniew Drzewiecki
(www.gorzow.com.pl, www.instagram.com/gorzowcompl,
facebook.com/gorzowcompl).

Druk: DOTTO sp. z o.o.. Wydanie: Gorzów Wlkp.,
01.11.2019 r., Numer ISSN 2657-5280